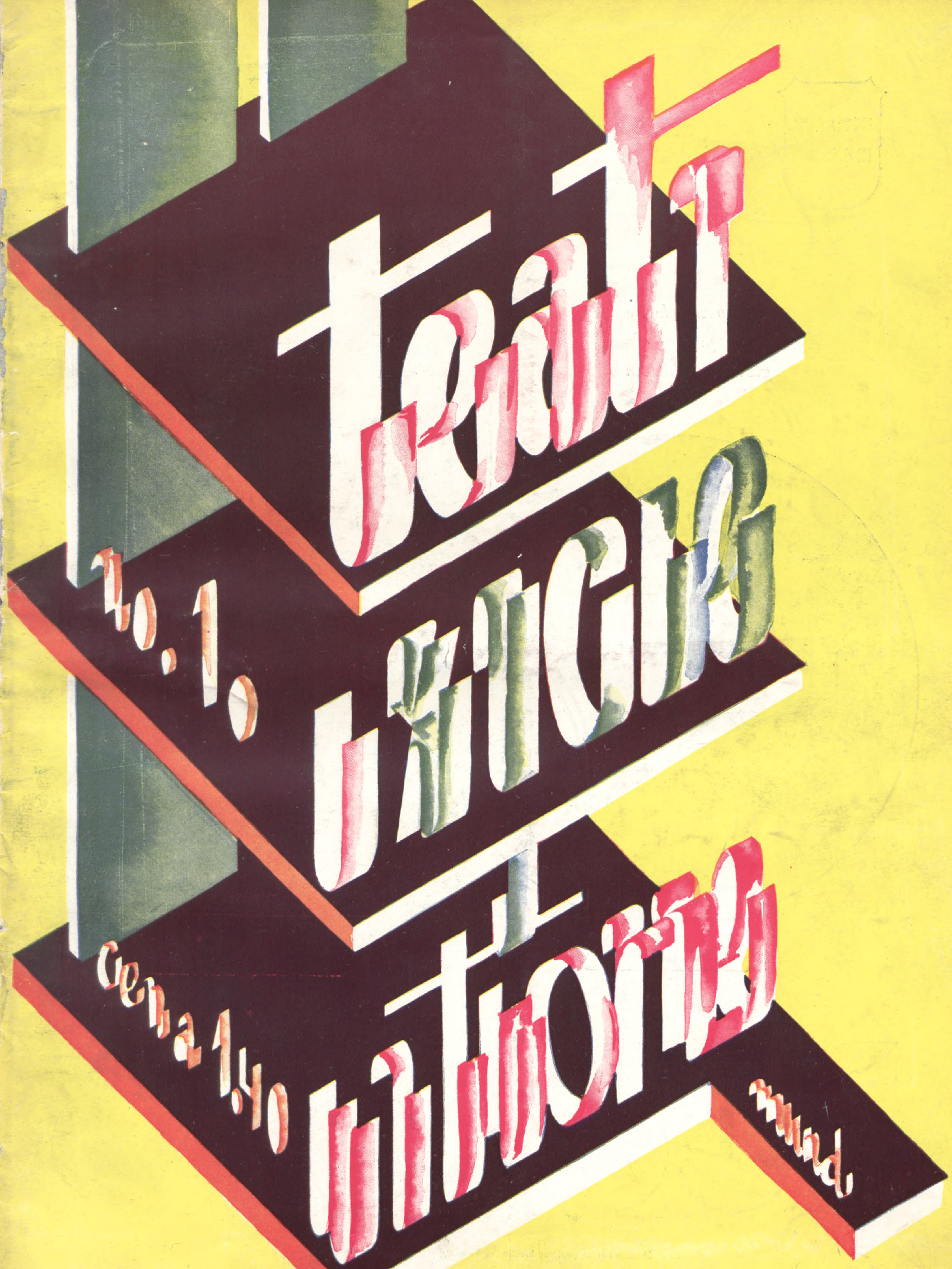

teatr
No. 1.
Cena 1,40



Najlepsze chwile
przy
głośniku Philipsa







Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa.

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK III — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 10

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MARSZAŁKA FOCHA Nr. 2. TELEFON 525-85 i 72-85.



TREŚĆ NUMERU:

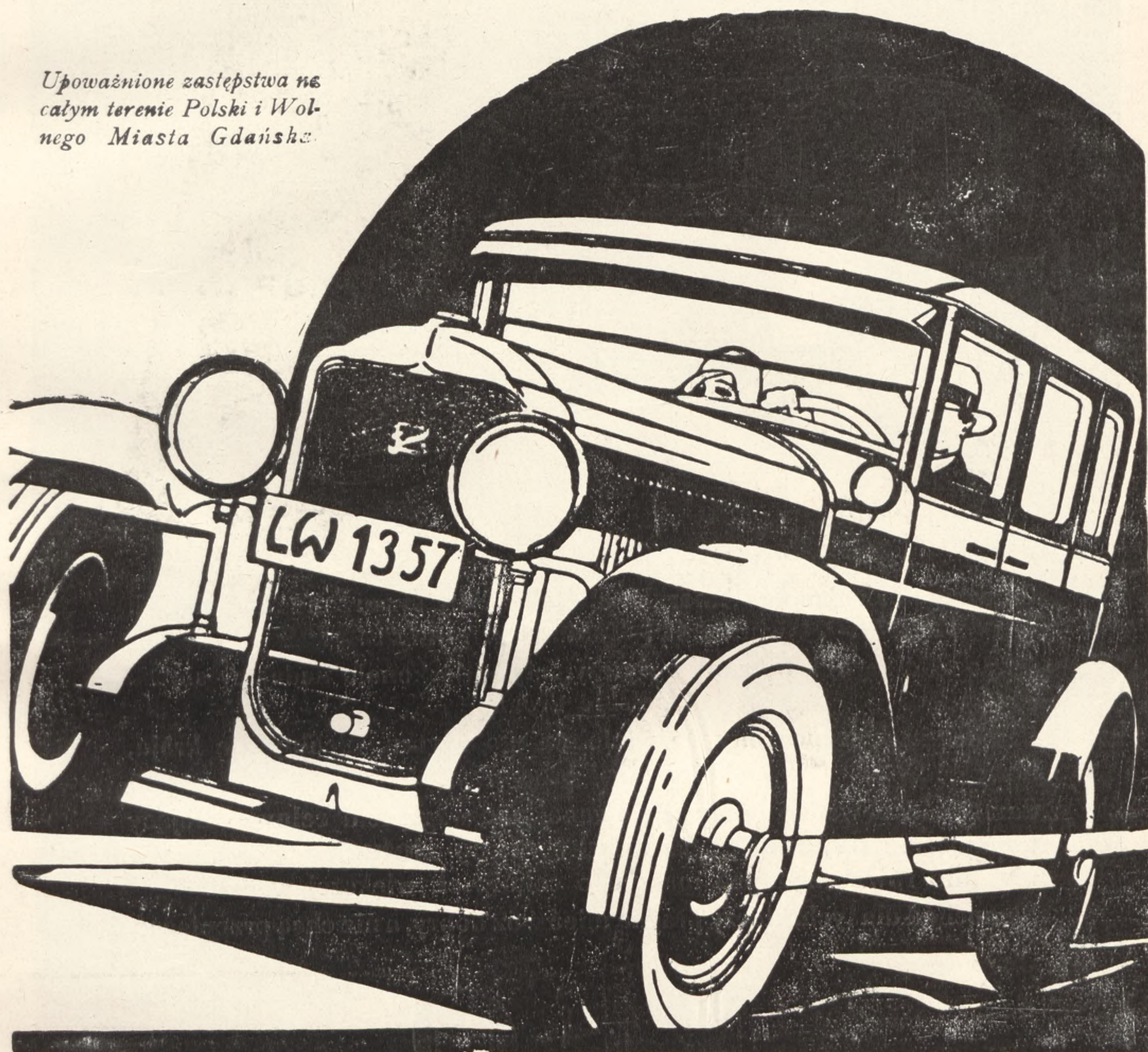
Zdzisław Kleszczyński – High-life. *Juljan Ejsmond* – Dzidziuś cieszy się słońcem... *Well* – Dzień Pani Wytwornej. *St. Osińska* – Gość z dancingu. *Lt. Sölm* – Budda szczęście rozdający. *Jerzy Sosnkowski* – Auto i my. *Willy Corsary* – Szmaragdy.



Ostatni promyk słońca... — *Fot. Dorys*




POND'S
COLD CREAM
POND'S
V
CREAM



JAK STRZAŁA SZYBKO I RÓWNO.

...Szybko — bo potężny motor nie zna przeszkód: gór, błot, czy piachów.

Równo, — bo idealna akceleracja sprawia, że gdyby biała wstęga drogi nie znikała tak zawrotnie prędko pod kołami samochodu, nie wiedzielibyśmy nawet, że jedziemy już z szybkością 90... 100... 120... km. na godzinę.

BUICK

Roczna gwarancja. Pierwszorzędna karoserja krajowego wyrobu, dostosowana do krajowych warunków. Ceny od zł. 26.300. Wyrób General Motors.

Teatr i Życie Wytworne

ROK III CZASOPISMO ILUSTROWANE № 10

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, MARSZAŁKA FOCHA Nr. 2. TELEFON 525-85 i 72-85



Lady Erskine, małżonka ambasadora Wielkiej Brytanji

H. L.

POSELSTWO WIELKIEJ BRYTANJI W WARSZAWIE — AMBASADĄ

Widomym znakiem wzrostu znaczenia międzynarodowego Polski jest podwyższanie rang przedstawicielstw dyplomatycznych wielkich mocarstw w Warszawie do rzędu ambasad. Między ambasadorem a posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym jest — zgodnie z zasadami uchwalonemi na kongresie wiedeńskim w r. 1815 — różnica bardzo znaczna. O ile bowiem poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny akredytowany jest nominalnie jedynie przy rządzie obcego państwa i przed niem rząd swój reprezentuje, o tyle ambasador jest akredytowany przy panującym (w republikach — przy głowie państwa) i sam również swego panującego (ew. prezydenta) osobiście reprezentuje. Jeżeli praktycznie nie ma to może dziś już tak wielkiego znaczenia, jednakże zostaje przy określaniu starszeństwa podczas wszelkich ceremonji czy uroczystości uwzględniane i daje ambasadorowi pierwszeństwo („préséance") nawet przed członkami rządu danego kraju. Najważniejsze wszakże jest, że przywilej posiadania i mianowania ambasadorów bezspornie nadaje niemały „prestiż" państwu na terenie międzynarodowym.



Sir William August Forbes Erskine, K. C. M. G., M. V. O. pierwszy ambasador Wielkiej Brytanji w odrodzonej Polsce



Ambasador Erskine wraz z personelem ambasady u Pana Prezydenta Rzplitej po złożeniu listów uwierzytelniających

Niemałym więc jest dla nas zaszczytem, że mocarstwo tak potężne, jak Wielka Brytanja, idąc śladem Francji i Italji, podwyższyła swe poselstwo w Warszawie do rangi ambasady, podkreślając tem swój dla nas szacunek i uznanie dla dziesięciolecia naszej pracy nad odbudową państwowości polskiej. Korzystając z okazji przypomnimy pokrótce dzieje angielskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego w odrodzonej Polsce.

Pierwszym przedstawicielem dyplomatycznym Wielkiej Brytanji w Warszawie po odzyskaniu naszej niepodległości był sir Percy Wyndham, który przybył do Warszawy 6 maja 1919 r. Nie miał on wszakże jeszcze ustalonej rangi dyplomatycznej. Pierwszym regularnym posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym Wielkiej Brytanji w Warszawie był dopiero sir Horacy Rumbold (obecny ambasador Wielkiej Brytanji w Berlinie), który sprawował swój urząd przez rok — od października

1919 r. do tegoż miesiąca 1920 roku. Następcą jego został sir William Grenfell Max Muller, akredytowany dnia 31 stycznia 1921 r. Pozostawał na swem stanowisku przez sześć i pół lat zgórą, zaskarbiwszy sobie wraz ze swą małżonką lady Max Muller powszechne sympatje w najszerszych warstwach społeczeństwa polskiego. Lady Max Muller, dama o wielkiej kulturze towarzyskiej, nadawała przez parę lat ton całemu wielkoświatowemu życiu stolicy, zaznaczywszy się też chlubnie na niwie propagandy sztuki polskiej zagranicą oraz na polu filantropji, wspierając czynnie szereg polskich instytucyj dobroczynnych.



Jeden z salonów ambasady wielkobrytańskiej

Dnia 10 stycznia 1928 roku akredytowany został przy rządzie polskim jako poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Wielkiej Brytanji w Warszawie sir William August Forbes Erskine, aby w dniu 6 listopada 1929 r. wręczyć ponownie listy uwierzytelniające p. Prezydentowi Rzeczypospolitej, tym razem już jako ambasador Wielkiej Brytanji, pierwszy po upływie 250 lat, od czasu panowania króla Jana Sobieskiego nie mieliśmy bowiem ambasadora angielskiego w naszej stolicy.

Przez czas swego blisko już dwuletniego pobytu w naszym kraju sir William Erskine, jak również jego małżonka zdołali już nawiązać ścisły kontakt z naszem społeczeństwem, ciesząc się ogólną sympatją.

Mówiąc o dziejach wielkobrytańskiej placówki dyplomatycznej w odrodzonej Polsce należy wspomnieć o dwóch jej wybitnych członkach, którzy od pierwszej chwili pracują wśród nas i przyczynili się w bardzo dużej mierze do zacieśnienia stosunków między naszemi krajami. Są to pp. Ryszard Kimens, I-szy sekretarz ambasady, delegowany do spraw handlowych oraz Frank Savery, konsul, przydzielony do ambasady. Obaj wspomniani panowie należą dziś już, po dziesięciu zgórą lat pracy na placówce warszawskiej, do najlepszych znawców naszych stosunków, a swem nieustannem zainteresowaniem wszystkiemi bez wyjątku dziedzinami naszego życia państwowego, kulturalnego i towarzyskiego, budzą szczery podziw i gorące uznanie.



Gmach ambasady wielkobrytańskiej w Warszawie przy ul. Nowy-Świat 18

RAUT W POSELSTWIE TURECKIEM

Poselstwo tureckie w Warszawie już wkrótce będzie podniesione do rangi ambasady. Będzie to jeszcze jednem podkreśleniem odwiecznej przyjaźni, łączącej nasze narody. Bo Turcja była jedynym krajem, który nigdy nie uznał rozbiorów Polski, a na dorocznem przyjęciu dla korpusu dyplomatycznego, które się odbywały u sułtana za czasów naszej niewoli, wielki wezyr oświadczał co roku: «Poseł Lechistanu nie mógł przybyć», co zawsze wywoływało pomruk niezadowolenia u ambasadorów Rosji, Niemiec i Austro-Węgier. Zato też Polska była pierwszym krajem, który zawarł po wojnie z Republiką turecką traktat przyjaźni w Lozannie.

Będziemy więc wkrótce mieli w Warszawie ambasadora tureckiego, do czasu przybycia jego zaś kierownictwo poselstwa tureckiego w Warszawie sprawuje jako chargé d'affaires a. i. *Hassan Wasfi bej Mentesz zade.* Wydał on niedawno raut dla swych kolegów z korpusu dyplomatycznego oraz grona przyjaciół, znajomych i rodaków, czyniąc wraz ze swą małżonką honory domu w sposób równie serdeczny, jak ujmujący.

Mieszczące się w pięknym pałacyku pp. Kiślańskich przy ul. Szopena salony poselstwa zapełniły się rojem najwytworniejszego towarzystwa. Różnobarwne toalety pań tworzyły piękną harmonję kolorów na tle czerni fraków i bieli gorsetów męskich. Z korpusu dyplomatycznego obecni byli: ambasador francuski Laroche z małżonką, ambasador italski hr. Martin-Franklin, małżonka posła szwedzkiego pani d'Anckarsvärd, poseł austrjacki Post, poseł łotewski Nuksza z małżonką, poseł brazylijski Peçanha, poseł szwajcarski de Segesser-Brunegg, poseł perski Assad-Bahador, poseł hiszpański Vallin y Alfonso, poseł holenderski Engelbrecht z małżonką, poseł czeskosłowacki Girsa z małżonką, poseł Z. S. S. R. Bogomołow, poseł japoński Macuszima, poseł grecki Lagudakis, poseł rumuński Cretzeanu oraz chargés d'affaires: chilijski—Becerra, belgijski—Tilmont, węgierski—Balasy, estoński—Schmidt, bułgarski—Karandżulow z małżonką, duński—Hoffmeyer z małżonką, finlandski—Ernst i jugosłowiański—De Giulli. Ponadto z ambasad: francuskiej—attaché wojskowy mj. bar. du Perier de Larsan, italskiej—sekr. Rulli z małżonką, a z poselstw: austrjackiego—radca Freudenthal i sekr. Schwinner z małżonką, łotewskiego—sekr. Sieverts z małżonką i Igenbergs oraz attaché wojskowy płk. Plesums z małżonką, niemieckiego — radcowie von Rintelen z małżonką i Schillinger, węgierskiego — sekr. Pereny i attaché wojsk. mjr. Andorka, perskiego—sekr. Entezam Weziri, hiszpańskiego—sekr. Muns y Andreu z małżonką i Muguiro y Pierrard, czeskosłowackiego—radca Lisicky i sekr Lom, japońskiego—attaché wojsk.—płk. Suzuki, angielskiego—attaché wojsk. płk. Martin z małżonką, greckiego—sekr. Syndica z małżonką, finlandzkiego—attaché wojsk. płk. Ernst i rumuńskiego—sekr. Davidescu oraz attaché wojsk. płk. Nicolaescu z małżonką. Z M.S.Z. obecni byli pp.: Romer, Schwarzburg-Günter, Przeździecki i Wehr. Wreszcie: prezes stow. Rosjan w Warszawie Gorłow z małżonką i córką—sporsmenką Lulą, a z prasy: red. Wassan Girej Dżabagi i Liński.

Raut ten, urozmaicony tańcami, upłynął w przemiłej atmosferze i był bardzo udatnem rozpoczęciem sezonu towarzyskiego w warszawskim korpusie dyplomatycznym. Wszyscy obecni serdecznie dziękowali uprzejmym gospodarzom za wielce gościnne przyjęcie.

Fasicha Wasfi bejowa małż. tureckiego chargé d'affaires a. i.



Hassan Wasfi bej Mentesz zade, turecki chargé d'affaires a. i.




L. Solski i S. Broniszówna w sztuce K. H. Rostworowskiego „Niespodzianka" wystawionej w Teatrze Narodowym

Fot. J. Malarski

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

HIGH LIFE

Moim przyjaciołom ze «Zwartu» poświęcam.

Gdy byłem jeszcze bardzo młody (i bardzo głupi) chorowałem na *high life.*

Właściwie, przedtem chorowałem na skrajny radykalizm, ale mi to względnie szybko przeszło, bo w tym samym mniejwięcej czasie zaznałem rozkoszy współżycia z pewnym poczciwym, ale rzadko myjącym się es=erem; moskal był dusza = człowiek, rozumiał się na fabrykacji bomb, mięszał jednak, niestety, nasze ranne kakao — paluchem.

Mam wrażenie, że ten paluch wyrwał mnie z objęć Karola Marxa...

Otóż tedy zachorowałem na *high life.* Zaczęło się niby to niewinnie: zakochałem się w Henri de Régnier. Resztki mej principjalności stopiło, jak wiosenny śnieg, złote słońce Francji. A potem zaczęły się inne przeobrażenia, nie mające chyba żadnego związku z wielkim francuskim pisarzem. Ot, widocznie już dojrzałem do reakcji. Wchłonąłem był na błotnistym gruncie Petersburga tyle ideowych herbat, tyle tasiemcowych dyskusyj, tyle zakazanego rosyjskiego intellektualizmu, tyle pocałunków z «ogólnoludzką» pointą, że się we mnie ocknął jakiś protest. A może poprostu — młodość...?

High life zaczyna się różnie. Mnie wtedy, pamiętam, skusiły pewne angielskie. reniferowe rękawiczki. Przedtem nosiłem wełniane, białe, jak większość studentów, w karnawale *glacés.* A tu raptem zachciało mi się owych reniferów. Leżały w oknie wystawowem angielskiego magazynu na Newskim. Strasznie drogi był ten magazyn. Zapłaciłem za rękawiczki ceną 12=tu studenckich obiadów... (Mój Boże! Kotlet cielęcy na Zabałkańskim kosztował wówczas 13 kop., befsztyk z polędwicy, wraz z górą jarzyn i chleba, aż 28 kop.!)

Zapłaciłem ceną 12=tu obiadów — i poczułem się półbogiem. A właśnie i romans jakiś «podleciał», mówiąc ówczesną naszą, bezeczną gwarą... Ona była, naturalnie, kobietą z towarzystwa...

Postanowiłem sobie kupić prawdziwe jedwabne niepowiemco i wogóle, być młodym lordem.

Kupiłem.

Na jednym z moich przyjaciół zrobiło to tak wstrząsające wrażenie, że przyszedł do mnie zaraz następnego dnia, a raczej wpadł, jak bomba, do mojego pokoju.

— Mam do ciebie prośbę!

— Jaką?

— Jakby ci to powiedzieć...

Spojrzałem na niego bardzo podejrzliwie. Błysnęła mi myśl, że szelma chce odemnie pożyczyć kilka rubli. (Do pierwszego było daleko). Niedoczekanie! Wszystko przerżnie w preferansa.

— ?

— Czy nie mógłbyś mi pożyczyć...

Tu zaczął się jąkać. Jąkał się dobrą chwilę. Weszcie wyszło na jaw, że chciałby odemnie pożyczyć owe jedwabne niepowiemco, bo ma tego wieczoru jakąś szalenie wytworną randkę: ona jest kasjerką w kinie, czy coś w tym rodzaju.



P. Felicja z Wańkowiczów
bar. Dangel

Powiedziałem twardo:
— Nic z tego, bratku.
— Dlaczego?
— Dessous się nie pożycza!
— Świnia.
— Sam taki.

Zapanowało między nami milczenie. Ale to był chłop z charakterem. Powiedział:
— Więc dobrze. W takim razie pożycz mi co innego...
— Co, mianowicie?
— Pod... Podwiązki.
— Mogę. Mam dwie pary.

Wziął podwiązki, zapiął.
— Dziękuję. Chcesz — zostawię ci wzamian moje agrafki?
— Paszoł won!
— Jak nie, to nie.

Schował agrafki do kieszeni kurtki. Wesoły, jak czyżyk, zrobił piruetą w kierunku drzwi. Ale na progu coś go jeszcze zatrzymało.
— Nie masz czasem jakiego alkoholu?

Tego było mi zawiele. No, jakto! Na dnie butelki ledwo się kropla końjaku uchowała, onegdaj, przy kartach, ostatnią flaszkę wina mi wypili... Do 1-go blisko dwa tygodnie... Ryknąłem:
— *Paszoł won!*

Przyjął tę zniewagę stoicznie.
— Au revoir.

Niebawem dobiegło mnie ze schodów rozdzierające:

«Ponaprasnu Wani-ka ty chodisz
pona-parasnu nóżki mniosz,
nicz-cziewo, btat, nie połuczisz,
w durakach dom-moj pojdiosz...»

P. Katarzyna z hr. Zamoyskich
hr. Baworowska

Cała kamienica wyległa na schody, miotając przekleństwa.

* * *

Nietylko więc sam habilitowałem się w *high life*, ale i maluczkich za sobą prowadziłem. Zwykle tak bywa. Większy księżyc prowadzi satelitów. W jedwabnych niepowiemczem, reniferowych rękawiczkach i krasie moich dwudziestu wiosen szalałem po Petersburgu, jak Atylla. Zmieniły się w owym czasie także moje gusta. Upodobałem sobie pewnego łagodnego kretyna, który chciał się koniecznie żenić z panną z dyplomacji, albo bodaj z wdową (rozwódka była wówczas *rara avis*) bowiem — jak twierdził — tylko kobiety z wykwintnego kosmopolitycznego towarzystwa umieją *robić cercle*. Prowadzałem się z nim na wizyty i przyjęcia, na bale i pogrzeby, na rauty i maskarady. Flirtowałem na prawo i na lewo. (Więcej na lewo). Nie zdawałem egzaminów, za to robiłem długi. No, i uwodziłem, naturalnie... Ho-ho... Gdyby nie dyskrecja...

— Ano, cóż? *High life!*

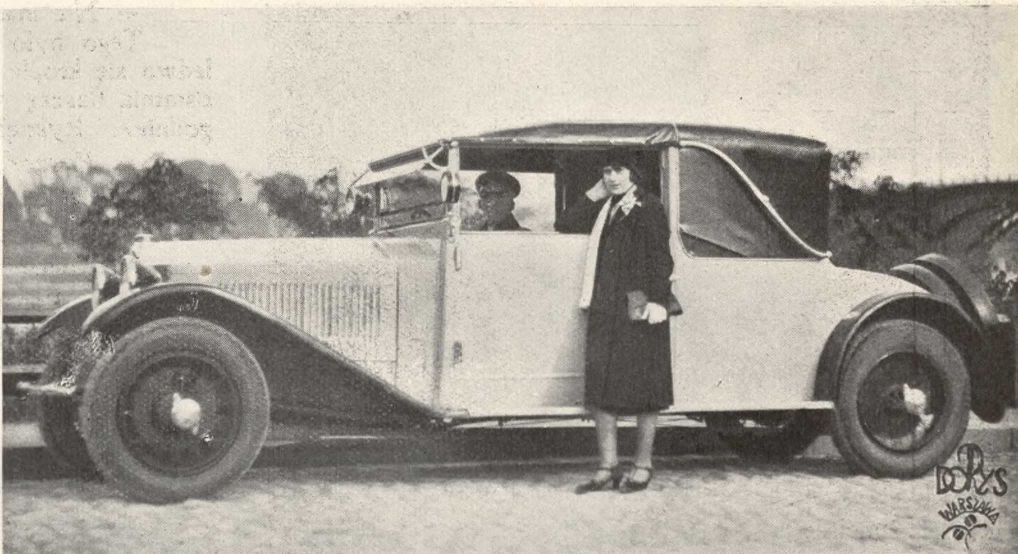
* * *

High life puścił również szybko, jak złapał. Nie powiem, żeby to był przebłysk inteligencji: przebłyski inteligencji przychodzą człowiekowi znacznie później, naprzykład, kiedy widzi, że ma syna-idjotę, i że ten syn-idjota, to wykapany ojciec... Więc nie żaden przebłysk inteligencji, raczej gwałtowny wstrząs... Powiedzmy, szok!

Petersburg tonął w zgniłej mgle, gdzieś, na morzu, huczały syreny, w czarnych kanałach pluskała przybierająca woda... Był wieczór, pełgały w nieskończonych perspektywach latarnie...

A w studenckiej stołówce, na Zabałkańskim, hen, w drugiem podwórzu, śpiewano zuchwale «Jeszcze Polska...»

Bo to była rocznica listopadowa.



P. Prezesowa Maurycowa Hertz przy swojej pięknej sześciocylindrowej „Tatrze" chlubnie wyróżnionej na konkursie elegancji samochodów A P.



JERZY SOSNKOWSKI

AUTO I MY

(na marginesach salonu paryskiego 1929)

— Tłumy.

— Tłumy ludzi i aut. Aut niewiele, mniej niż ludzi.

Auto zwolna zdaje się stawać cieniem człowieka, jego „alter ego".

W Ameryce dziś wypada 1 auto na ośmiu mieszkańców. We Francji stan posiadania aut wzrasta w ten sposób, że jeśli w przeszłym roku każdych 45-u obywateli posiadało jedną maszynę, to dziś dzieli się nią już tylko 38-u.

— — — — — — —

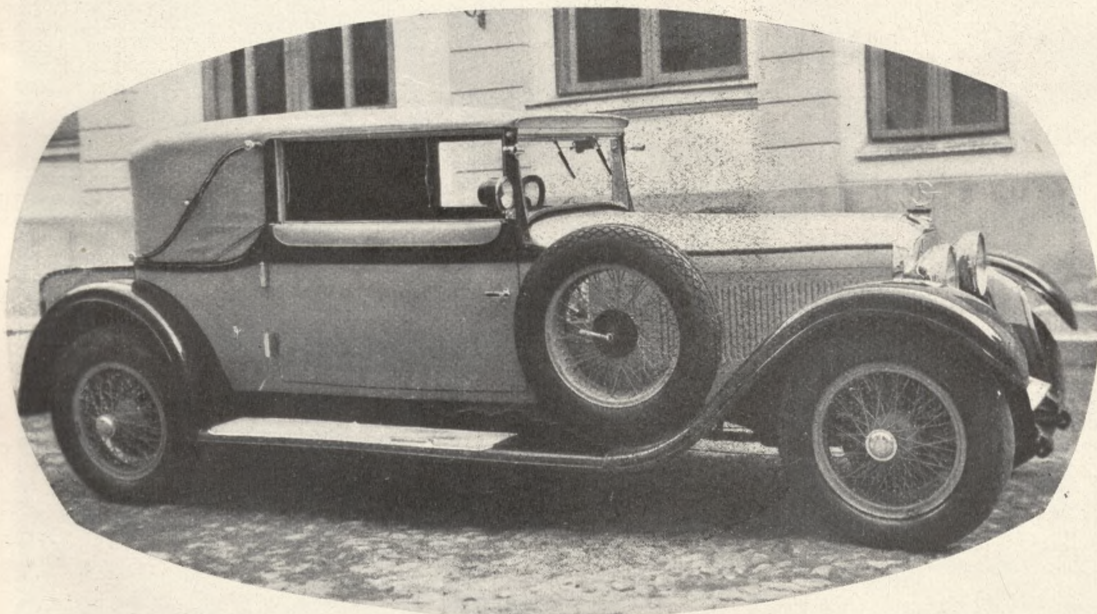
Setki modeli.

Publiczność staje się coraz więcej wymagającą. Prosi o motory coraz silniejsze, maszyny prędsze, piękniejsze, wygodniejsze, *tańsze* i ekonomiczniejsze w eksploatacji. Inżynierowie dobywają wszystkich sił — i nowe, żądane modele powstają.

Niedawno przeszliśmy poza 100 koni w motorze.

Przemysł aeroplanowy jest biczem dla automobilowego. Jest wiecznym potężnym popędem do coraz to nowych wysiłków, by choć jako tako placu dotrzymać podniebnemu koledze.

Ba! motor aeroplanowy! Od 100 konnego — w 1914 r. skoczyła maszyna lotnicza na 500 w 1919,



Nagrodzony na konkursie piękności samochodów cabriolet Austro-Daimler własność p. Józefa Sztembardta

a dziś sięga 800 i 1000 — a!

— — — — — —

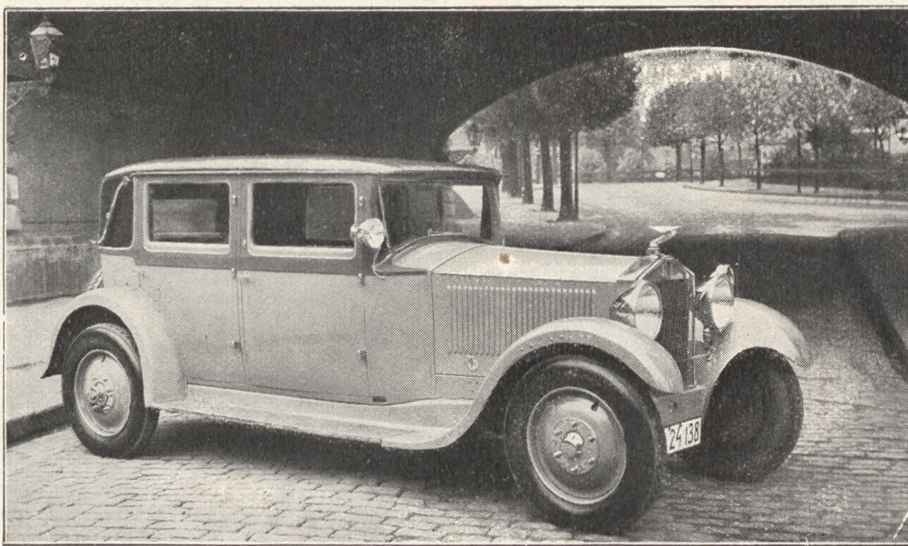
Zagadnienie automobilizmu leży dziś w dwu punktach istotnych: tworzywo i napęd.

Nad materjałem do budowy silników łamią sobie głowy najtęższe asy konstrukcji.

Z nowemi napędami robi się wciąż nowe, coraz śmielsze próby, że wspomnę o samochodzie rakietowym.

P. Baodry de Saunier, autorytet automobilowy, przepowiada niezwykłą przyszłość temu nowo-rodkowi.

Jednak zmuszeni będziemy poczekać nieco, aż mu się skonsolidują zamazane, rozlane jeszcze rysy, aż trochę wyprzystojnieje.



Wytworna limuzyna, skarosowana przez znaną fabrykę karoserji K. P. K. (Krajowy Przemysł Karoseryjny)

Wynalazków mnóstwo. Ulepszeń tyle, że—wogóle trzeba kupić nowy wóz, bo ten — zeszłoroczny, — to kompletny przeżytek.

Poprzez nowe, rewelacyjne systemy chłodzenia, poprzez sprecyzowanie chronometrycznie skrzynki biegów, poprzez objawienia w dziedzinie gum, do oświetlenia, do najdrobniejszego ze szczegółów.

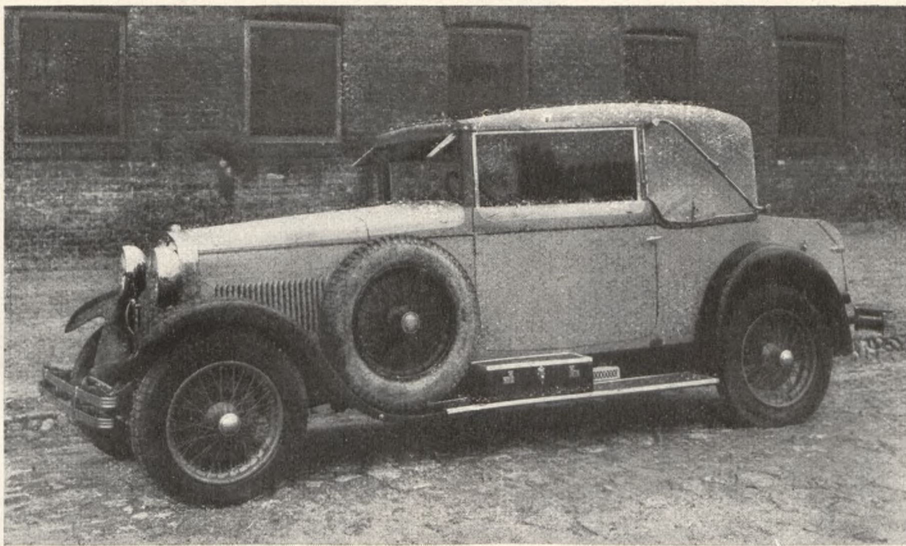
Prożektor B. Jocal, czy reflektory Jaopozzi, — to już nie są zwykłe środki oświetlenia sobie drogi, — to poematy światła, to miljonkrotnie zmartwychwstały Prometeusz, biegnący przed wozem usłużnie, ze snopem promieni w dłoniach, to duch zaklęty w niklowe, okrągłe latarnie.

— —

Fragment salonu Automobilowego w Paryżu – październik 1929

Linje ostatnich modeli zdają się być szczytem tego, co wydobyć może sztuka pod ramię z techniką. Całe sztaby artystów-specjalistów tygodniami pieszczą pod ekierką i cyrklem komfort, który ma zostać skonkretyzowany w stali, miedzi i niklu.

To też czasem, spojrzawszy na typ ten czy ów mimowoli zamyśla się widz. To wygląda jak kropla stężonego pędu, rzeźbiona powietrzem, poczęta z przestrzeni, — przez niewidzialnego DŻYNA RUCHU ofiarowana człowiekowi.


Wytworny Delage skarosowany przez znaną fabrykę karoserji K. P. K. (Krajowy Przemysł Karoseryjny)

Byłoby niesprawiedliwem pominąć tu nasze, krajowe fabryki karoserji, które poszczycić się mogą nie jednem już pięknem nadwoziem, wspomnieć zaś należy bezsprzecznie o przodującej fabryce K. P. K. (Krajowy Przemysł Karoseryjny), której karoserje w niczem nie ustępują karoserjom zagranicznym.

— — — — —

Te maszyny żyją, te maszyny mają swoje oblicza, swoje dusze, swoje charaktery. Wierzę głęboko w to, że tak, jak trzeba wychować dziecko, ujeździć sobie konia, tak należy ułożyć swoje auto. Może to kosztuje trochę trudu, ale cóż to za rozkosz potem czuć pod sobą nerwową, prężną, szarą maszynę, smukłą jak pantera, ciepłą, potężną — i posłuszną, i wiedzieć, że jej świętem prawem jest wola kierującej dłoni, że jej wielka czardziejska siła, tak łatwo zwyciężająca przestrzeń i ruch jest tobie niewolniczo oddana — poprostu jak pies!

Piękna illuminacja Salonu wieczorem





M. Maszyński

PAN TOPAZ

sztuka w 4-ch aktach Marcelego Pagnol'a w Teatrze Polskim. Reżyserował Karol Borowski.

Po rekordowem powodzeniu «Artystów», zdawałoby się, że nie prędko znajdzie się sztuka, któraby choć w części «im» dorównać. Tymczasem okazało się, że «Pan Topaz» jest wcale kasową i cieszącą się wielkiem powodzeniem sztuką, która, przez pełną humoru treść i doskonałą grę całego zespołu z pp. Milą Kamińską, Samborskim i Maszyńskim na czele, codziennie zapełnia widownię Teatru Polskiego.



J. Krzewiński i M. Maszyński



Mila Kamińska i Bogusław Samborski



Marjusz Maszyński i Mila Kamińska



Scena z aktu 2-go: Samborski i Kamińska

Fot St. Brzozowski


Pp. Karczmarewiczówna i Dąbrowski


Pp. Leitzkówna i Parnell


P. Halina Szmolcówna


P. Nina Parnellowa

PREMJERA BALETOWA W TEATRZE WIELKIM

Od chwili, gdy Feliks Parnell znów chwycił w ręce ster baletu teatru Wielkiego, ożywił go odrazu, wyzywając jakby różdżką czarodziejską z letargu, marazmu zagnuśnienia. Jego młodzieńczy zapał, niezmordowana energja, mrówcza pracowitość i entuzjazm twórczy stworzył cud: w balecie warszawskim zaczęto prawdziwie i szczerze pracować. Pierwszym owocem tej pracy Parnella były świeżo wystawione trzy nowe balety: «Ostatni Pierrot» Rathausa, «Co — co» Macury i «Serduszko» Baranowicza. Nie wszystko tu jeszcze może było na wysokości zadania, zarówno w układach, jak w wykonaniu, ale w każdym razie już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że balet warszawski wszedł w nowe stadjum swego istnienia.

Mielibyśmy np szereg zastrzeżeń co do układu «Ostatniego Pierrota», zbyt pantomimicznie ujętego i tanecznie naszem zdaniem niewyzyskanego. Zwiewne pląsy p. Niny Parnellowej oraz nieskalany klasycyzm p. Haliny Szmolcówny — oto jaśniejsze punkty tego baletu.

Najzupełniej natomiast zadowoliły dwa pozostałe balety. Parnell był tu w swoim żywiole, jako Co — co z filmów rysunkowych Fleischera. Wił się i łamał, jakby był bez kości, stwarzając fenomenalną kreację taneczną. Znakomicie spisała się również zachwycająco wschodząca na firmamencie baletowym czarująca gwiazda p. Basia Karczmarewiczówna, której dzielnie sekundował p. Dąbrowski. Słowa gorącej pochwały należą się tu również p. Jasi Leitzkównie, coraz piękniej się rozwijającej tanecznie i zasługującej już na role najodpowiedzialniejsze.

W «Serduszku», bardzo nastrojowym balecie charakterystyczno-ludowym celowali pp. Parnellowie. Wszystkie trzy balety cieszą się niebywałem powodzeniem, świadczeniem, że Warszawa balet lubi i popiera, o ile są dobrze zrobione.


Scena z baletu „Serduszko" Fot. J. Malarski

DZIEŃ PANI WYTWORNEJ

(Projekt scenarjusza filmowego).

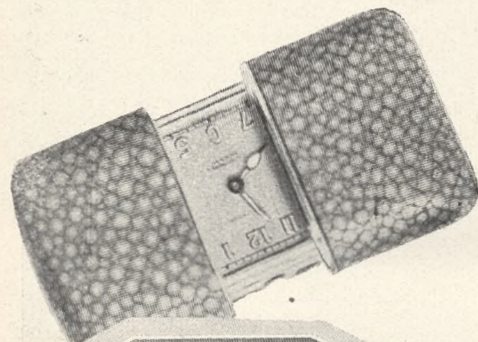
Pani wytworna, stuprocentowo wytworna, żyje na łamach eleganckich miesięczników, poświęconych modzie. Pojawia się na ekranie, ale tylko jako epizod, szanująca się bowiem bohaterka filmu nie może przez całe dziesięć aktów pozostać niezmiennie wytworną, bo wytworność jako taka wyklucza wszelkie silne emocje i wstrząsające przejścia. Pani wytworna stanowi deskę ratunku dla dowcipnych, lecz przepracowanych feljetonistów, którzy powracają do niej chętnie jako do tematu wypróbowanego i niezawodnego, traktując ją zresztą z pełną sympatji i pobłażliwości ironją. Żyje ona również w wyobraźni najskromniejszych pracownic igły, anonimowych wykonawczyń cudnych kreacyj, któremi słusznie się pysznią wielkie firmy krawieckie.

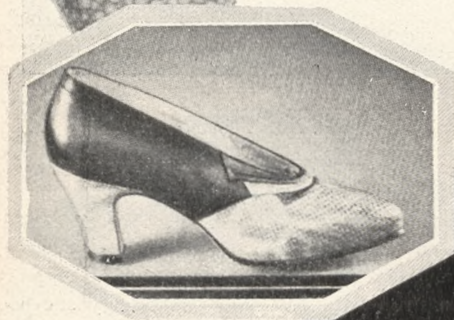
W życiu realnem pani wytworna, stuprocentowo wytworna, nie spotyka się nigdy. Istnieją liczne i urocze istoty, dążące do tego niedoścignionego ideału, nawet zbliżające się do niego, ale jak każdy ideał, jest on nieosiągalny dla istoty żywej, więc ułomnej. Aby się o tem dokładniej przekonać spróbójmy spędzić z panią wytworną jeden tylko dzień, taki jakim dzień pani wytwornej być powinien.

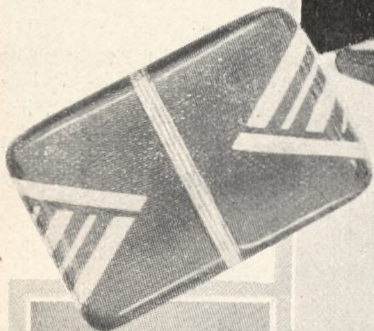


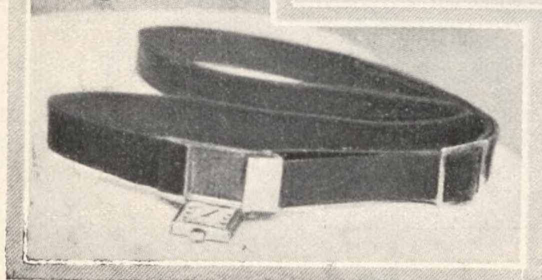
RANEK.

Cicho na paluszkach wsuwamy się do sypialni pięknej pani. Niewypada? Czemużby nie? Wiek najbardziej wyrafinowanej wytworności obyczajów, wiek osiemnasty uznawał takie poranne wizyty. Markizy przyjmowały wielbicieli i petentów przy toalecie, którą przy nich wykończały. Przybyły z prowincji filozof, Jean Jacques Rousseau przyznaje w swych słynnych «Confessions», że trudno było mu nieraz zachować się filozoficznie wobec tylu, tak słabo osłoniętych, wdzięków. Ale myśmy przecie ludzie stateczni i zblazowani, zresztą udajemy się do sypialni pani wytwornej tylko duchem. A przytem nasza pani wytworna jest interesującą tylko przez to, co ma na sobie, sama przez się nie istnieje. Podziwiajmy więc w należnem skupieniu prześliczną pyjamę, w jakiej zwykła sypiać pani wytworna. Jest ona (pyjama, nie pani) z blado różowego soie lavoble, inkrustowana żorżetą pervenche, krój jej oscyluje między stylizacją pyjamy męskiej, a reminiscencjami dawnej pyjamy à la chinoise.









Może też pani wytworna sypiać w koszulce nocnej z morelowego crêpe banjo inkrustowanego motywami z mocno kremowej koronki, rozrzuconemi potrosze wszędzie. Ten model nazywa się nuit d'amour, ale gdyby pani wytworna miała czas na miłość, musiałaby ta miłość zostawić ślady w postaci koronkowych bukietów odciśniętych na atłasowej skórze pani. Na szczęście pani stuprocentowo wytworna na miłość czasu nie ma.

Pani wstaje i już musi mieć na sobie inną pyjamę. Tamta była strojem nocnym, ta stanowi rodzaj sukni domowej. Składa się z trzech, nawet czterech części. Spodenki, bluza i kurtka lub krótkie kimono, albo szeroka kamizela, coś w rodzaju kurteczki bez rękawów. Jedwab i aksamit



binaison to prawie suknia balowa. Zresztą wkłada się już suknię. Pani wytworna nosi dessou, bezcenne zarówno pod względem materjału jak odrobienia, ale nosi ich niewiele.

PRZEDPOŁUDNIE.

Z chwilą włożenia sukni w dniu pani wytwornej kończy się ranek i nastaje przedpołudnie, pora najbardziej skomplikowana pod względem toaletowym. O tej porze obowiązuje elegancja dyskretna, stonowana, o charakterze cokolwiek sportowym. Sukienka z angielskiego tweed'u wygląda bardzo skromnie, choć kosztuje zawrotne sumy. Do niej płaszczyk z identycznego tweed'u i koniecznie płaska torba portfel, z tego samego tweed'u wykonana. Któż ma hołdować kultowi ensemble'u jak nie pani wytworna. Ranne cacka pantofelki z brokatu i piór strusich leżą porzucone na dywanie, do wyjścia przedpołudniowego nosi się solidne półbuciki na słupkowych obcasach. Mogą być z box calf'u i renifera, mogą być z lakieru i krokodyla, lub nawet z bezcennej jaszczurki, ale muszą zachować charakter spacerowo-przedpołudniowy, daleki od lekkomyślnej zalotności strojnych pantofelków wizytowych i wieczorowych. Kapelusik na przedpołudnie wkłada pani wytworna skromny, niewielki, zharmonizowany z jesienną tonacją tweed'owego kompletu. Może to być gładki filc z dających się miękko modelować feutres chemises, lub też filc homespun, przerabiany jasną nitką na podobieństwo modnych tkanin. Dopuszczalna jest lekka mgiełka tiulowej woalki, zakończonej wypustką cirée. Rękawiczki z mankietami, zachodzącemi na rękaw sukni. Krótki i gruby jedwabny parasol, z artystycznie rzeźbioną rączką i pani wytworna jest gotowa do wyjścia.

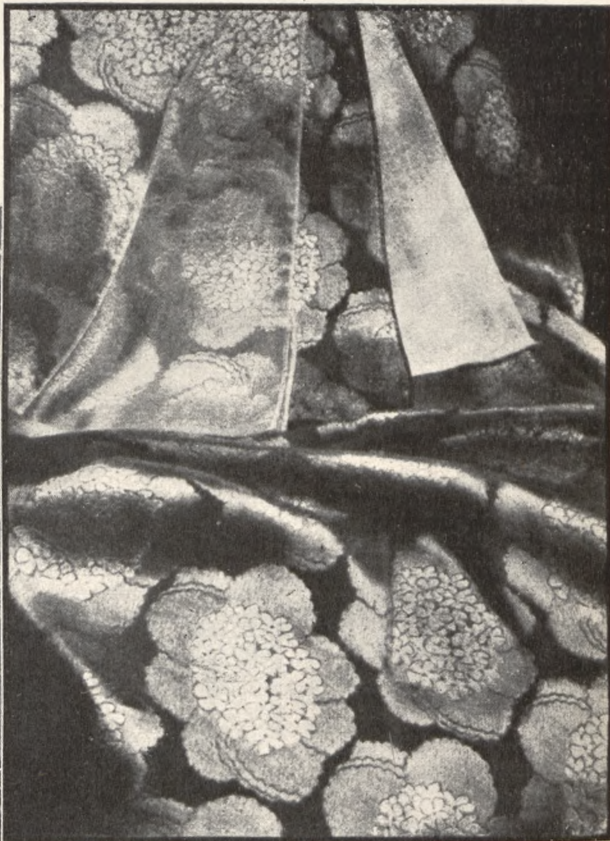
Dokąd może się udać pani wytworna przed południem. Powiecie mi państwo, że oczywiście do krawcowej. Nie jest to wcale takie oczywiste. Pani wytworna może się równie dobrze udać do modystki, do szewca, do fryzjera, do kuśnierza, do kosmetyczki... Są to wszystko sprawy bardzo ważne i niecierpiące zwłoki. Może się także przejść po alejach, ale koniecznie z psem. Najmodniejsze są szkockie długowłose teriery bardzo kosztowne i bardzo szpetne. Wpaść na chwilę do kawiarni, szykownej kawiarni, zlustrować toalety przyjaciółek i rywalek i... już czas się przebrać na lunch. Do księgarni nie wchodzi pani stuprocentowo wytworna nigdy, nawet dla towarzystwa.

połączone, składają się na bardzo szczęśliwą całość. Chińskie i japońskie hafty stanowią najpiękniejsze przybranie.

Gdyby pani było zimno (chociaż, czy pani wytwornej może być wogóle zimno?), może zamiast pyjamy zarzucić szlafroczek z pastelowego jedwabiu na watolinie, pikowany w misterne desenie. W tym stroju pani wytworna mogłaby zjeść śniadanie. Ale nie może. Po pierwsze śniadanie tuczy, po wtóre nie ma na nie czasu. Negliż poranny wkłada pani stuprocentowo wytworna po to jedynie, aby dopełnić jednego z mnogich obowiązków z wytwornością związanych. Potem przystępuje bezwłocznie do ubrania się do wyjścia.

Panowie zechcą łaskawie zamknąć oczy. Aby móc się ubrać, każda pani, nawet wytworna musi się wpierw rozebrać. A na to gruntowne rozebranie wkłada się przedewszystkiem pas. Pas nowego typu, który choć nazywa się jeszcze pasem, lecz staje się coraz podobniejszy do gorsetu prababek... no może niezupełnie prababek, lecz bądź co bądź do gorsetu przedwojennego. Modna sylwetka uległa radykalnej zmianie. Teraz nosi się biust wysoki i zaokrąglony, talję, osy i biodra wygięte w łagodny łuk greckiej amfory. Tyle doskonałości naraz może osiągnąć nawet pani stuprocentowo wytworna tylko za pomocą doskonale zrobionego pasa-gorsetu. Na combinaison z crêpe satin lavable, inkrustowanego motywami matowemi, lub voile triple z misterną aplikacją naszytą ściegiem tureckim. Panowie mogą otworzyć oczy. Com-








LUNCH.

Pani poprostu elegancka mogłaby z powodzeniem pójść na lunch czyli śniadanie, w popołudniowym komplecie z tweed'u. Pani stuprocentowo wytworna nie traci żadnej sposobności do przebrania się i wystąpi w arcyszykownym trois pieces z czarnego velour'u. Spódniczka kloszowa, bluzka kamizelka crêpe satin, velour'owy żakiecik, a do tego krawat i maleńka okrągła mufeczka z gronostai. Pantofelki z czarnego lakieru, inkrustowane białym reniferem. Pończoszki tourtevelle (bardzo ciemne, szare z refleksem granatowym). Przedziwnie asymetryczny kapelusik z czarnego taupé soleil. Na to wszystko płaszcz z czarnego futra: karakuły lub breitszwantz'e z gronostajowym kołnierzem. Noir et blanc jest najmodniejszą kombinacją barw. Niektórzy krawcy paryscy malują śnieżne gronostaje na czarno, aby zadowolić wybredność pani hyperwytwornej.

Tak cudnie przystrojona jedzie pani pięknym Packardem na śniadanie do modnej restauracji lub do ambasady. Na bywanie u zwykłych śmiertelników pani wytworna nie ma czasu.

FIVE O'CLOCK.

Na five o'clock trzeba się znowu przebrać. W inną czarną suknię. Ta będzie znacznie dłuższa ale jeszcze nie powłóczysta. Krój musi mieć tak skomplikowany, aby nietylko pióro feljetonisty nie zdołało go opisać, lecz aby nawet ołówek rysownika uchwycić go nie był w stanie. Może się składać ze stu części połączonych ze sobą ledwo dostrzegalnym haftem, może być przy szyi wykończona aplikacją z białego jedwabiu, powycinanego w liście, może być bajecznie szeroka w dole, ale na biodrach musi leżeć gładko i obciśle. W takiej sukni może pani nawet tańczyć, nie dłużej coprawda niż od piątej do siódmej. Pantofelki do niej weźmie pani czarne atłasowe, z klamrami ze szlifowanego kryształu, na ramiona dwa połączone lisy: czarny i biały. Kapelusz spory, z miękko falującem rondem, z typu capelines. Zasadą pani wytwornej jest: im dłuższa suknia tem większy kapelusz. Jadąc na five o'clock zarzuca pani okrycie ze srebrnych popielic, szarych, cieniowanych karakułów, lub fioletowych soboli. Mogą to być, w ostateczności bardzo piękne nurki, bowiem prawdziwe sobole stały się obecnie taką rzadkością, że może nie móc się na nie zdobyć nawet mąż pani stuprocentowo wytwornej, który, jak powszechnie wiadomo, jest automatem do robienia pieniędzy i płacenia.



OBIAD.

Z obiadem ma pani wytworna największy kłopot. Kanony wytworności nakazują do obiadu ubrać się wieczorowo, bo też zagranicą jada się obiad wieczorem. Ale w naszych warunkach! Czy ubierać się wieczorowo do obiadu jadanego między drugą a trzecią. Czy też, wbrew przyzwyczajeniu przemożnej większości, jadać go o siódmej. Znam ludzi z wyraźną tendencją do wytworności, którzy jadając codzień obiad o ogólnie przyjętej porze, urządzają u siebie obiady proszone o ósmej, lub nawet dziewiątej.



Pani elegancka i praktyczna, któraby była zaproszona na taki późny obiad, a musiała być przedtem na po-

południowym dancingu, ubrałaby się odrazu w suknię żorżetową z luźnym żakiecikiem. W ten sposób byłaby dostatecznie ubrana na five o'clock, a po zdjęciu żakiecika, dostatecznie rozebrana na galowy obiad. Ale pani stuprocentowo wytworna musi się przebrać od stóp do głów. Więc w powłóczystą szatę koloru ametystowego ⟨najładniejszy z modnych odcieni «dahlia»⟩ cokolwiek krótszą ztyłu, akurat tyle, aby odsłaniała wysadzane brylantami obcasiki srebrnych pantofelków. Do niej paznokietki pokryte ametystowym lakierem i sortie z ciemno-fioletowego velour caméléon z kołnierzem z szenszyli. Sortie krótkie, dochodzące poniżej bioder. Jeżeli pani gra w niem w bridge'a, nazywa się to «bridge-coat». Jeżeli się ma sortie, nie należy brać innego okrycia. Zimno! Trudno: pour être belle il faut souffrir.





„FANTAZY" CZYLI „NOWA DEJANIRA" J. SŁOWACKIEGO

W MINJATURACH KAZIMIERY DĄBROWSKIEJ



Pp. M. Majdrowiczówna, L. Solski. A. Halska,
W. Staszkowski i J. Chmieliński



Pp. J. Węgrzyn, A. Rotter-Jarmińska, W. Skarzyński,
I. Solska i J. Osterwa

OR-OT

PARADYZ

Były to czasy złe i okrutne,
Czasy przemocy dzikiego wschodu,
Wszystko dokoła było tak smutne,
Jak beznadziejna zima narodu.

Młodość nie znała kwiatów, ni wiosny,
Nie znała nawet burzy i gromu,
A jeśli zabrzmiał jej śpiew radosny,
To tylko skrycie, w rodzinnym domu.

Tak wlókł się nędznie byt potępiony.
Chwila za chwilą pełzła jałowa,
Ale, na szczęście, z książki wzbronionej,
Rwała się w serca pieśń narodowa.
A promień słońca błyszczał jedynie
W tem szarem życiu, co, jak pies, gryzie,
Przy podniesionej w górę kurtynie,
W Rozmaitościach, na paradyzie.

Wizje arcydzieł stają w pamięci
I wywołują płomienie w oku,
Pędem po schodach biegną studenci,
By lepsze miejsce dostać w natłoku.
Obok dziarskiego akademika
Śliczna panienka, która jest wiosną,
A czar poezji serca przenika
I skrzydła duszom młodzieńczym rosną.

Padły ze sceny pierwsze wyrazy
I dreszcz zachwytu przebiegł widownię,
Ach, choćbyś pierś miał twardą, jak głazy,
To w niej zapłoną ogniste głownie.
Jakaś zasłona spływa niebieska,
A w niej cudowne perlą się głoski —
To Marja Stuart! — to Modrzejewska!
Tragiczny błazen — Nick, Królikowski!

W tej strasznej dobie bez gwiazd i słońca,
Która dla Polski była katuszą,
Ojczysta mowo porywająca,
Myślmy cię całą słuchali duszą.
Każdy dźwięk słów twych oczy zapalał,
Albo je srebrzył błogiemi łzami,
A często zgłuchłe serca ocalał,
Orlemi w błękit wznosząc skrzydłami.

Antrakt. Lecz sala nie huczy gwarem,
Bo uszy szpiegów bystre i czujne,
My tak w teatrze, jak w życiu szarem
Wieść musieliśmy życie podwójne.
Szeptem się młodzi zwierzają sobie,
Śliczna panienka i zapaleniec,
A to, co dawno spoczęło w grobie,
Kładzie laurowy na duchy wieniec.

I trzeba taić w szeptach rozmowy,
Chorał miłości, krzyk nienawiści,
Ale lżej dźwigać wrogów okowy,
Pod laurowemi szumami liści.
Sztuka dodaje sił, których trzeba,
Do pójścia z Moskwą w nowe zawody;
I jest dla młodych, jak kawał chleba,
I jest, jak źródło ożywczej wody.

O paradyzie! twoje wspomnienia,
Do dzisiaj żywo grają w pamięci
Z pod grobowego wstają kamienia
I wolny Polak swą łzę im święci.

Gdy było w życiu goryczy tyle,
Gdy wróg zawzięty tak, jak pies gryzie,
Błogosławione, szczęśliwe chwile
W Rozmaitościach, na paradyzie.

JULJAN EJSMOND

Dzidziuś cieszy się słońcem...

Dzidziuś dziękuje Bozi,
że na niebie śmieje się słońce. –
Nie będą zato broić,
dzidziusia łapki psocące. .

Dzidziuś ogromnie lubi
jak jest taka śliczna pogódka...
A jak pada deszczyk – Dzidziowi
od płaczu trzęsie się bródka...





I wtedy Bozia powiada:
„Rozejdźcie się brzydkie
[chmurki...
Bo jak słonko będziecie zasłaniać
zasmucą się oczki-lazurki...

Jak nam słonko będziecie za=
[słaniać
obłokiem, co deszczem grozi, –
wykrzywi się buzia
[w podkówkę
i Dzidziuś poskarży się
[Bozi"...

Przelękły się szare
[chmurki
i zwiały daleko z błę=
[kitu...
I zajaśniało słoneczko,
aż Dzidziuś się zaśmiał
[z zachwytu...

Słoneczko ma złotą
[buzię
roskosznie na niebie się
[złoci...
Wesołe jest, jak Dzi=
[dziuś
i jak Dzidziuś czasami
[psoci...

A z nieba deszcz cza=
[sem pada
nim kto się obejrzeć
[zdoła
Niebo jest czasem nie=
[grzeczne:
deszcz pada – a ono nie
[woła...

Przedruk z „7 dni"



Składając damie w podarunku "4711"



daje się dowód subtelnego wyczucia jej życzeń, albowiem świeży i miły zapach tej prawdziwej wody kolońskiej pozyskał serca kobiet na całym świecie. Przy zakupnie należy skontrolować prawnie zastrzeżoną markę "4711" (Etykieta Oryginalna Niebiesko-Złota).

Od roku 1792 "4711" sporządzane według własnego przepisu, zawsze tej samej niedoścignionej dobroci.

№4711. Eau de Cologne



Irma Green, artystka filmowa

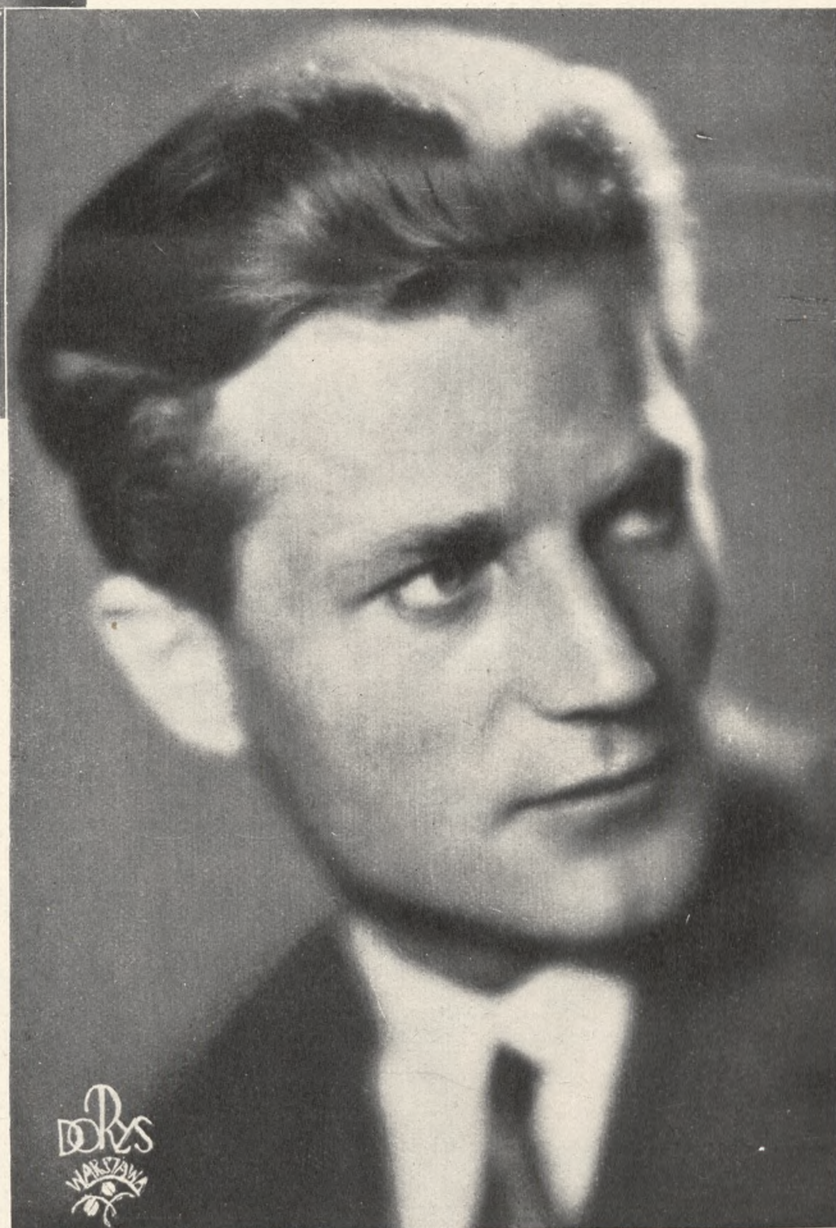
Dr. A. F.

O SZMINKOWANIU

Technika szminkowania, tego nieodzownego w świecie artystyczno-teatralnym czynnika, nie jest w żadnym razie rzeczą tak prostą, jakby się to napozór zdawać mogło. Już przy samym wyborze i sposobie zastosowania szminek muszą być uwzględnione cele jakim mają służyć, miejsca, na które mają być nakładane, warunki oddalenia osoby szminkowanej, rodzaj światła (naturalne, czy sztuczne). Przy świetle dziennem należy bezwzględnie oddać pierwszeństwo szminkom suchym. Dla tych celów należy przedewszystkiem twarz pokryć cienką warstą gęstszego nieco kremu, nadmiar którego usuwa się przy pomocy delikatnej ściereczki. Na krem nakłada się równomiernie warstwę białego pudru, nie pomijając przytem uszu i powiek i wreszcie mniej natężoną czerwień, którą pokrywamy policzki, dosięgając ust i nosa i wcierając ją ruchami kolistemi aż poza ucho. Przy oświetleniu sztucznem posiłujemy się głównie tłustą szminką czerwoną. O ile naszminkowanie nie odpowiada naszym wymaganiom, nie należy poprawiać, lecz odszminkować się i zabieg nanowo powtórzyć.

Oczywiście, w technice szminkowania istnieją liczne gradacje w zależności od wieku, warunków ogólnego środowiska i zgodności z niemi. I nie każda twarz znosi tę samą ilość różu na tem samem miejscu. Róż nakłada się zazwyczaj na te części, które muszą stać się mniej widoczne. Jeżeli np. twarz posiada zbyt wystające kości licowe, nakłada się lekką warstwę różu na nie, poczynając od bocznych ścianek nosa, pocierając łukowato i rozszerzając je na części, dosięgające dolnego odcinka oka, aż do skroni. Twarze szerokie wymagają nakładania szminki pośrodku policzków, wąskie, blade zaś—równej, bardzo lekkiej pokrywy z różu, ożywiającej tylko cerę ogólną. Różem szminkować

Juljusz Lubicz-Lisowski, partner Lipińskiej w filmie „Moralność pani Dulskiej"



należy również ośrodek dolnej szczęki (niezbyt szeroko), miękisz uszny oraz z wielką ostrożnością zewnętrzne otwory nosowe w pobliżu górnej wargi. Wszystko inne winno pozostać białem. O ile róż tuszuje pewne odcinki twarzy, o tyle barwa biała je uwydatnia.

A teraz jeszcze słów kilka o dwóch bardzo ważnych częściach twarzy, nadających wyraz całości, mianowicie: o ustach i oczach. A więc przedewszystkiem płynnym różem pociąga się ostro kontury, poczem ołówkiem barwi się całość warg. Im barwa ołówka jest ciemniejsza, tem lepiej. Teraz więc raz jeszcze pudruje się twarz we wszystkich załamkach oraz na pograniczu części owłosionej, by usunąć pozostały tam krem i rozpoczyna się zabieg oczny. Pierwszy warunek: niepodkreślać nigdy oczu! Ta linja tak często prowadzona pod oczyma, jest brzydką, postarza, czyni wzrok sztywnym i jest aż nazbyt widoczną. Natomiast należy szminkować powiekę górną, pociągając na kremie szminką brunatną, lub wieczorem szminką niebieską. Rzęsy szminkuje się na czarno przy pomocy szczoteczki, zakręcając je ku górze, ew. ku dołowi na powiece dolnej, delikatnie się je rozczesuje cienkim grzebyczkiem, by się nie sklejały. Brwi szczotkuje się z początkiem ku górze, następnie (o ile zbyt jasne pociąga się je szczoteczką maczaną w mastyksie) szminkuje się i prowadzi po ładnej linji nazewnątrz i ku dołowi.

Usuwanie szminki odbywa się najlepiej przez wycieranie tłuszczem. Cienką powłokę płynnej szminki można też poprostu zmyć wodą.

Najwłaściwiej jednak zetrzeć zapomocą Coldeveaniu lub nawet wazeliny lub gliceryny i zmyć następnie mydłem i wodą.



Ulubienica Wiednia, Daniela Lipińska, gra główną rolę w filmie „Moralność pani Dulskiej"



Jaga Boryta, jedna z najbardziej utalentowanych polskich artystek filmowych



WILLY CORSARI

SZMARAGDY

(z holenderskiego przełożył Tad. Zbign. Hanusz)

«Istotnie, chcesz ją poślubić?»

«Tak».

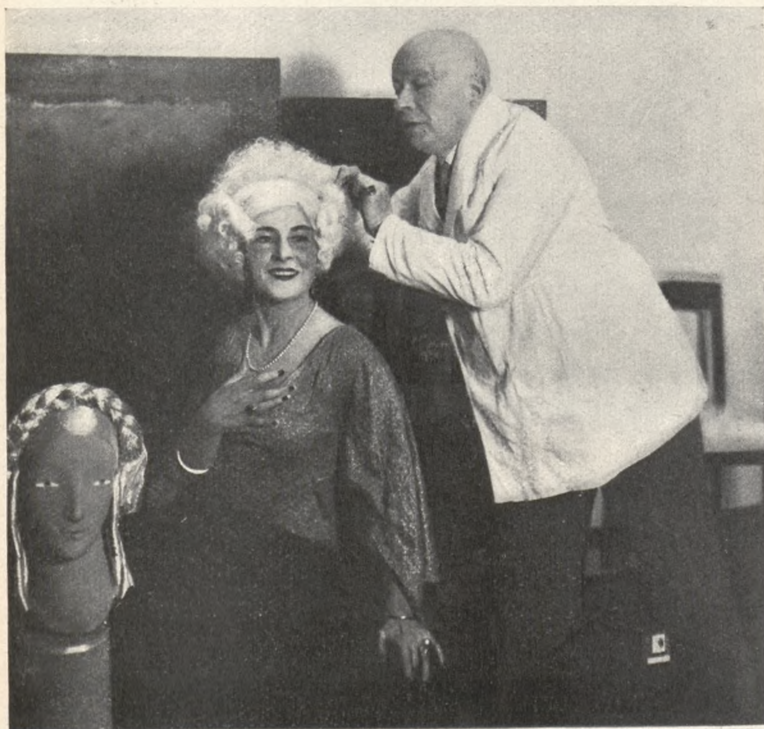
«Niedorzeczność!»

Na ósmym pokładzie dużego parowca, stali dwaj przyjaciele oparci na poręczy. W oddali dochodziły dźwięki muzyki do tańca i zlewały się ze szmerem morza.

«Dlaczego niedorzeczność?» — zapytał młodszy z dwóch mężczyzn.

«To nie jest kobieta, którą można poślubić. Proszę cię jednakże nie zrozum mnie fałszywie. Nie mam na myśli jej przeszłości. Co do mnie, mogłaby mieć jeszcze raz tylu kochanków, gdybym tylko mógł uwierzyć, że ona rzeczy=

Ostatnia kreacja fryzury i piękności przedstawiona przez p. Milę Kamińską i p. H. Małkowskiego na rewji „Mody w Morskiem Oku".



Fryzura wykonana przez mistrza Alexa — maquillage p. Zofja Wasilewska z firmy Antoine de Paris.

wiście cię kocha. Wówczas powiedziałbym, — nie zważaj na ludzką opinję i sięgnij po swe szczęście».

«Cóż ty możesz o tem wiedzieć?» — zapytał inny silnie podniecony.

«Ona nie jest wogóle zdolna kogokolwiek pokochać. W tym sęk. Nie uważam za coś specjalnie złego, że drogocenna kolja ze szmaragdów, którą tak chętnie nosi, jest podarunkiem ambasadora chińskiego. Daleko przykrzejsze jest to, że każdy z tych zielonych kamieni, jest jej daleko droższy, niż twoja miłość».

«To nieprawda!»

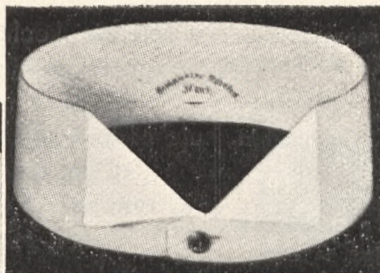
Drugi westchnął.

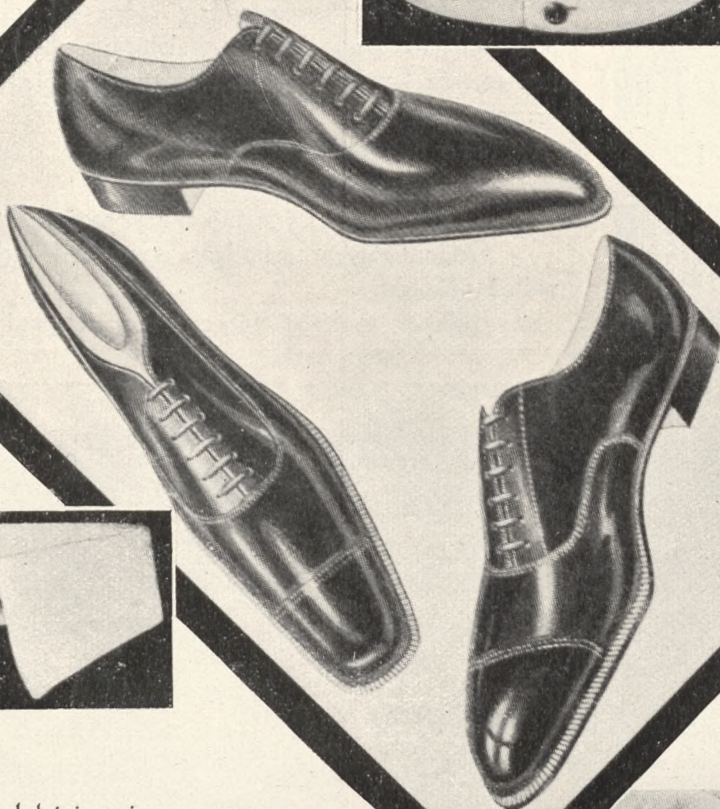
«Trudno, tobie już nic nie pomoże... ona nadchodzi».

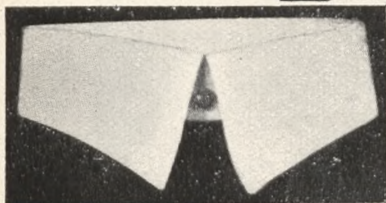
Oddalił się, przechodząc pozdrowił piękną panią, idącą wzdłuż pokładu.

Była w toalecie wieczorowej, wspaniały płaszcz nie-

Ostatnie modele kołnierzy, obuwia oraz palt









dbale zarzucony otulał jej majestatyczną postać. Piękność jej promieniała w świetle księżyca. Na szyi miała słynną kolję ze szmaragdów.

«Może chciałaby pani potańczyć?»

«Nie».

Chwilę stali obok siebie, oczy ich krążyły gdzieś ponad wodą. Palce pięknej pani trochę nerwowo bawiły się wielkim wachlarzem ze strusich piór.

«Czy panu co dolega?»

On milczał.

«Już wiem», rzekła, «przyjaciel pański mówił o mnie i dlatego pan taki nieswój. Czy nie tak? Cóż on mówił?»

On milczał w dalszym ciągu.

«Cóż on mówił?» dopytywała.

Wtem spojrzał na nią nagle. Wzrok jego osiadł głęboko w jej oczach.

W jego młodzieńczem obliczu coś drgało.

«On powiedział,... że każdy z tych zielonych kamieni, które pani nosi na swej szyi, więcej pani ceni, niż moją miłość».

«I pan w to wierzy?»

On wahał się.

«Więc pan w to wierzy?» powiedziała boleśnie. Raptownie objęła swoją szyję. Jednym ruchem zerwała kolję i rzuciła w głębinę morza.

Potem odeszła wzniosła, nie spojrzawszy nawet na fale, które jej skarb pochłonęły.

— — — — — — — — — — — —

Dopiero po ślubie odkrył tajemnicę, że ona wieczorem, jakoteż w podróży nosi imitację.



DELAGE

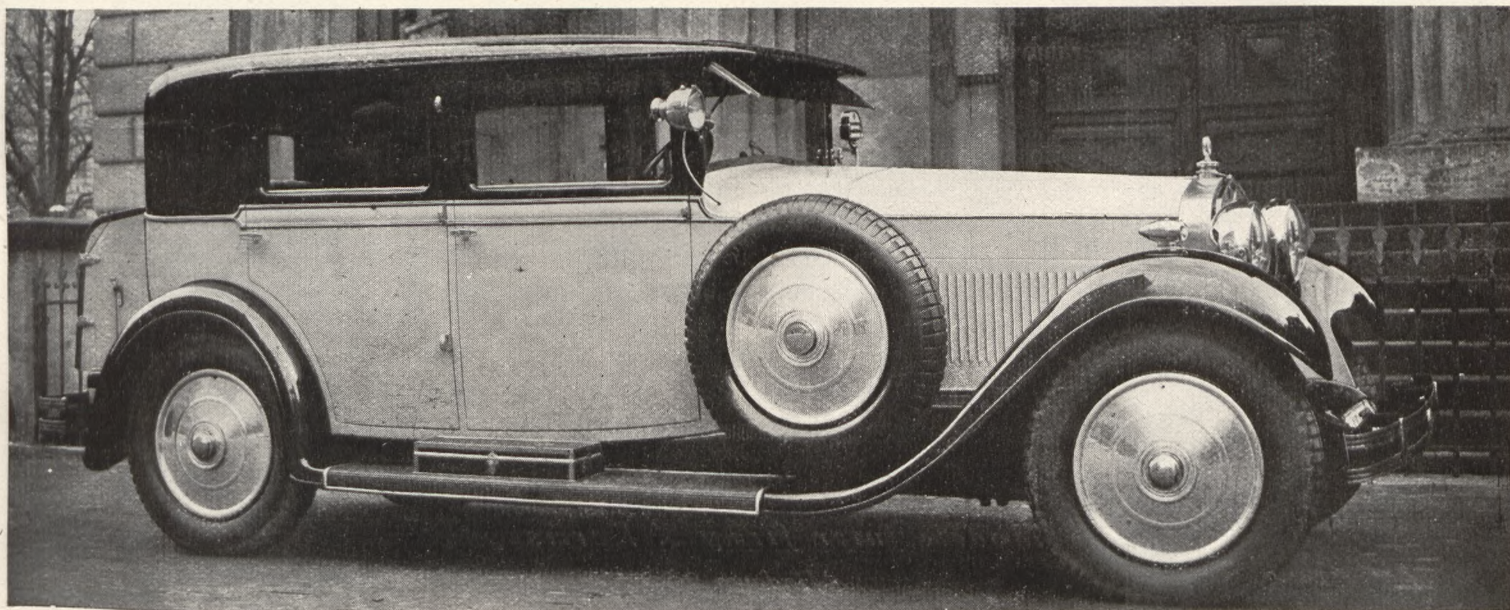
Któż nie zna tych pięknych rasowych wozów?... Nie pamiętamy wypadku, aby Delage kiedykolwiek nie wyszedł zwycięsko z zawodów. Wyścigi, raid czy też konkurs piękności, Delage zwycięża zawsze. Solidne podwozia, silne motory w których zastosowane są najnowsze zdobycze techniki i wiedzy inżynieryjnej, sprawiły to, że niewiele jest samochodów, które dorównać mogłyby Delage'om w szybkości, zaś najpiękniejsze i najbardziej komfortowe karoserje Delage'ów wiodą prym na całym świecie.

Podkreślić należy, że Przedstawicielstwo Delege'a w Warszawie jest chyba jedynem, które idealnie ekwipuje swoje wozy, przed oddaniem ich nabywcom do użytku. Delage, który opuszcza salon wystawy w Warszawie, jest «zapięty na ostatni guzik»... Ile to warte i jak bardzo należy to cenić wiedzą doskonale ci, którzy samochodami robią większe tour'y. Delage wyprzedza innych... Tegoroczny Salon Automobilowy w Paryżu przyniósł nową rewelację, która wkrótce podana będzie do wiadomości.

JENER. REPREZENTACJA

D/H JERZY ŻOCHOWSKI

WARSZAWA, PLAC NAPOLEONA 5. TEL. 339-33



Wytworna limuzyna Delage

FUTRA

Futra — równie cenne jak klejnoty, od których są częstokroć piękniejsze.

Futra — najgorętsze marzenia wszystkich pięknych, i mniej pięknych pań.

Futra coraz wspanialsze, coraz bogatsze, coraz bardziej fantazyjne.

Niema i nie może być eleganckiej garderoby, któraby nie zawierała futra. Co mówię?! Kilku futer!... Bardzo, bardzo wielu futer!!!

Dacha ze źrebaków na rano, karakuły na południową pogawędkę w kawiarni, srebrzyste popielice na ulicę, gronostajowe sortie, w które można po balu otulić rozgrzane tańcem, obnażone ramiona, no i lisy... Lisy srebrne, jakby przyprószone śniegiem, lisy białe, tworzące koło twarzy śnieżną, puszystą aureolę... Lisy wyzywająco rude, jak płomienne kobiety... Lisy barwione sztucznie, w odcieniach mdłych: złocistych, płowych, cielistych, popielatych i stalowych.





Nie masz prawdziwej elegancji bez futra. Niema i być nie może. Piękne futra nadają piętno wytworności najskromniejszym sukniom. Najwspanialsza toaleta pozbawiona puszystości futrzanego obramowania, wygląda ubogo.

Puszyste kołnierze futrzane nadają kobiecym twarzyczkom miękki urok kobiecości, uwydatniają brzoskwiniość karnacji, skradają ostrość rysów. Radość posiadania pięknego futra nadaje oczom blask radości a ustom czar uśmiechu.

Futra są źródłem nieustannej pokusy dla tych, co ich nie posiadają, lub posiadają zbyt mało. Futra są źródłem niepohamowanej radości, dla tych, które zostają niemi obdarowane. Futra są źródłem nieustannej troski dla tych, co za nie płacą, powodem większości sprzeczek małżeńskich i niejednej zdrady. Futra są także dla niektórych panów (kuśnierzy) źródłem pokaźnych dochodów.

Futra stroją, futra radują, futra kuszą, futra kłócą, futra godzą, futra kojarzą i rozłączają małżeństwa. Futra rujnują i futra wzbogacają. I jeszcze co? Już nie wiem... ależ tak: futra grzeją! Oczywiście. *Weff*



Modele futer firmy S. Karmazyn
Miodowa 20



Modele płaszczy nurkowych firmy Maksymiljan Apjelbaum i S=ka, Marszałkowska 125

„BUDDA SZCZĘŚCIE ROZDAJĄCY"

W miasteczku Podkowiec Dolny nie było, oczywiście, sklepu z maskotkami. Starożytności kupić można było — o tak — ale takie, które w żaden sposób nie nadawały się, aby je ofiarowano Markowi, jako talizman. Co prawda, właściciel drewnianej budy na rynku, stary Szmul Kret, zachęcał panią Adę do kupna wytartego i wytłuszczonego pasa ułańskiego: „skoro wielmożna pani chce coś starego — to to jest jeszcze z wojny", ale o maskotce—prawdziwej maskotce, potworku z peli, drzewa lub jedwabiu, nie było co marzyć. A w pamięci tkwił, jak gwóźdź wbity w ścianę, maleńki bałwanek z bronzu, klęczący człowieczek z listem w ręku, w domku inżyniera drogowego nie wiedzieć dlaczego, nazywany „Buddą rozdającym szczęście" — była to jednak własność męża, „Tabu", o porwaniu którego nie należało myśleć. Marek zaś startował nazajutrz o 6-ej z rana, z państwowego lotniska, położonego o 2 kilometry za obrębem Podkowca i miał lecieć, lecieć — o Boże! wystarczało pomyśleć o tem, a w mózgu zaczynały wirować i mienić się, jak w zawrotnie szybko kręconym filmie całe sieci błyszczących szyn, pajęczyny splątane drutów telegraficznych, kostki świeżo pod ozimę zoranych pól i mrowiska — jakże kuszące — nieznanych wielkich miast. Warszawa, Paryż, Londyn, Oslo, Moskwa, Tokio, Szanghaj i zdaje się nawet Aleksandrja — te wszystkie znane tylko z rzadko do Podkowca dostarczonych powieści, słowa padały z ust Marka tak sobie, poprostu, a oczy zamiast tonąć w marzeniach o przyszłej sławie (taki lot) tonęły w pani Adzie. „Więc dostanę coś od pani, Ado, na szczęście — prawda?" a potem niespodzianie: „wolałbym nie jechać". Trzy zwyczajne słowa, ale głos przy nich lekko załamany i ciemna głowa nisko pochylona. To był ostatni wieczór w domu inżyniera drogowego, w małym saloniku, w świetle pomarańczowem, sączonem skąpo przez gęsty jedwab chusty, narzuconej na wysoką, stojącą lampę. Inżynier był, jak zwykle, na preferansie u doktora — wczesne zmierzchy jesieni należało czemś zapełnić. Więc jakże było Markowi nic nie dać „na szczęście" w dalekiej drodze.

* * *

Przedzimowy chłód październikowego świtu przenikał granatową wełnę lekkiego paletka, a nóżki obute w sportowe niezgrabne pantofle (Michał Smok, majster szewcki, ulica Kozia) zapadały się w grudy gliniastej ziemi, kiedy pani Ada wracała z lotniska. „Budda szczęście rozdający", maleńki bałwanek z bronzu, zamieszkał w kieszeni lotniczej, skórzanej kurtki. Ciemne oczy długo i żarliwie prosiły o coś panią Adę. Nie stało się nic. To jest właściwie, było coś: jedno kłamstwo, i jeden krwawy rumieniec: „To nie jest męża, naprawdę nie ten Budda, to moje i już oddawna..."— „To dobrze pani Ado, bo ja chciałem od pani coś własnego,

najwłaśniejszego, a gdyby to nie było pani... przecież, na szczęście" — my lotnicy jesteśmy przesądni..." Może jeszcze o ułamek sekundy za długo spoczywała mała zmarznięta rączka w dużej, mocnej dłoni Marka. Któż to może wiedzieć? Kto liczy jakieś tam nieważne chwileczki. Bogu wykradzionego, ludzkiego szczęścia?

W małym domku pan inżynier przez cały tydzień szukał bałwanka. Cóż? znikł, przepadł, jak kamień rzucony w wodę. A pan Nowak, urzędnik z poczty, z lekkim uśmiechem wręczał przez jakiś czas pani Adzie fantastycznie oklejone kolorowemi znaczkami koperty. Istniały naprawdę te miasta — dziwne, dalekie — okrągłe stempelki w pośpiechu kładzione na papier: Paryż, Londyn, Oslo, Moskwa, Tokio, Szanghaj, Aleksandrja, Madryt... Konstantynopol też... „Par avion".

Potem przyszły rzeczy ważniejsze: na urzędowym uroczystym papierze nominacja. Trzeba było porzucić miły Podkowiec, wyboisty rynek, tonące w błocie uliczki, dobrze znane wnętrza najnędzniejszych w świecie sklepików, wreszcie biały domek, w którym przesiadywał ktoś bardzo kochany. Pakowało się kufry i kosze przy akompanjamencie błogosławieństw, obdarowanych starą garderobą dostawczyń mleka i pieczywa. Jeszcze była jedna wizyta na poczcie u pana Nowaka — „z gorącą prośbą". Żeby listy, wszystkie, jakie nadejdą, odsyłać do Warszawy. „Bo mąż teraz tam będzie mieszkał: dostał posadę. Więc żeby te listy — koniecznie..." Pan Nowak uśmiechał się i obiecywał.

Raz jeszcze tylko wspomniał pan inżynier swojego bałwanka a i to nieżyczliwie. Było to po jakiejś nocy, spędzonej w zgiełku Jazz-bandu i oparze wypitego wina, wracali do domu autem, pani Ada miała już płaszcz z karakułów. Wtedy właśnie inżynier powiedział: „nareszcie człowiek jest na swojem miejscu i przestał się marnować w tej zakazanej dziurze. To śmieszne, ale szczęście uśmiechnęło się do nas od czasu, jak zginęła ta małpa z bronzu. Przynosiła prawdziwego pecha. Ciekawy jestem, jak się czuje teraz, kto ją ukradł?"

* * *

Do Warszawy listy nie nadchodziły zupełnie. Myślało się oczywiście, że winien jest tylko i wyłącznie pan Nowak. Poprostu zapomniał o prośbie pani Ady, a listy — listy Marka przecież nie jakieś tam kartki od przyjaciółek — leżą w zielonej skrzynce pocztowej, jak w maleńkim blaszanym grobowcu i niema już tej jednej, najśliczniejszej chwili w dniu, kiedy to drżącemi rękami chowało się poznaczoną kolorowemi kwadracikami kopertę do torebki, „żeby jeszcze nie otwierać, jeszcze pomyśleć i wyobrazić sobie co On mógł napisać". Wreszcie któregoś dnia wysłano do pana Nowaka list — może nawet troszkę za uprzejmy — z zapytaniem, jak się tam przedstawia sprawa owej korespondencji. W odpowiedzi pan Nowak napisał całą, skomplikowanym stylem opracowaną epistołę, w której zawiadamiał, że nikt — zupełnie nikt do pani Ady się nie zgłaszał. Trzeba było wierzyć

i czekać, bo jakże nad splątaną pajęczyną telegraficznych drutów, nad mrowiskami dalekich miast, w wielkiej kopule nieba szukać maleńkiego, srebrnie migocącego punkcika? Więc pani Ada wierzyła i czekała. Ani na sekundę nie przychodziła myśl, że w wichrze Wielkiej Podróży przez życie, w oczekiwaniu na to, co się zdarzy, szarzeje i blednie to, co było kiedyś. A że tymczasem zaczął się karnawał, a pan inżynier na nowem stanowisku zawarł wiele znajomości, coraz dłużej trwały intymne narady w wielkich salonach mód i coraz częściej śliczna, niewyspana pani Ada nad ranem dopiero wracała do domu. Bronzowy Budda, skórzana lotnicza kurtka i ten — o sekundę za długi — ostatni uścisk rąk, wszystko to stało się teraz skrytem, najbliższem sercu wspomnieniem tamtych czasów, kiedy to w Podkowcu muzyki tanecznej słuchało się tylko przez radio, a senne dni pełne były niejasnej tęsknoty do barwnego, nieznanego zgiełku. Teraz przyszło już to wszystko — rajdy automobilowe, premjery w teatrach, nawet tango „princesse inconnue" skomponowane przez młodego Włocha z ambasady. Była codzienność, spokój niezachwiany, jak bieg uregulowanej rzeki. Tylko że każdy poranek przynosił nagły, bolesny skurcz serca (czy się co nie stało?), a szelest czytanej przez męża gazety (znów katastrofa lotnicza) stawał się zblednięciem różowych warg i sinym pierścieniem, podkuwającym przejrzystą szarość oczu. I najdziwaczniej brzmiała co wieczór, w najgłębszej tajemnicy bezdźwięcznym ruchem ust szeptana bluźniercza modlitwa „maleńka figurko, która odebrałaś mi szczęście, daj je chociaż jemu..."

* * *

Noc wyglądała jak dekoracja: mgliste plamy różowych kwitnących magnolji, tłoczone w granatowym aksamicie. Zejście z terasu — rząd marmurowych stopni — nad sam brzeg morza. W oddali, nisko nad połyskliwą tatlą wody zawieszona lampa: księżyc. I jeszcze muzyka, tak, właśnie ta muzyka. Wiolonczela. Banalne tango, które na tle tej właśnie nocy jest jedyną rzeczywistością, jedyną prawdą. Prawdą, po której już nic nie powinno się zdarzyć.

Na tarasie jest chłodno, ale pani Ada nie może wrócić na salę balową, przynajmniej teraz. Tam jest Marek. Szukają jej pewnie, Marek i mąż — szukają ślicznej pani, która w aureoli złotych, pracowicie skręconych loków wyglądała jak mała dziewczynka i ma: „jedyne na świecie, najniewinniejsze, wciąż to samo spojrzenie". Tak powiedział Marek.

Już są. „Aduś — to październik przecież — przeziębisz się". Głos męża. Teraz pani Ada wie: będą jeszcze inne dni. Takie jak wczoraj i przedtem. Więc poco opierać się?

Strzępki rozmowy i niespokojne zdziwione oczy Marka

⟨jeszcze pamięta?⟩ snują się koło pani Ady, jak coś znanego i już kiedyś przeżytego. Rozczarowanie? ukochana w dzieciństwie, i teraz po raz drugi przeczytana książka?

Przyjazny, serdeczny głos — taki prawdziwy przyjaciel — mówi: „więc cóż u państwa — bo ja"...

Tak. Rzucił lotnictwo. Więcej — ma tu, na jasnym brzegu — pensjonat. Pierwszorzędny, a punkt... i jeszcze, ożenił się. Czy ładna? „Oh! to pan sam oceni, inżynierze"... A tamto — zwycięstwo nad przestrzenią — sny górne ⟨uśmiech pobłażliwy⟩ — mój Boże! było się kiedyś młodym. Zostały nawet fotografje. Przecież państwo nas odwiedzą. Obejrzymy, przypomnimy sobie... O, jesteś — chodź maleńka...

Żona. W prostych, pełnych hieratycznej sztywności, fałdach złotej sukni bizantyjska figurka. Oczy zielone. Obojętne, jak to obce morze, obce jak ta noc, nierzeczywiste.

Na przegubie smagłej dłoni, przykuty do złotej, wąskiej obręczy — branzoletki, maleńki wisiorek. „Budda szczęście rozdający".

„A to pamięta pani?" Marek nachyla się nad panią Adą, nad jej nagiemi ramionami i patrzy porozumiewawczo w szare oczy. To od pani. Dałem żonie. Podobało jej się — że oryginalne. Nie gniewa się pani?

Główka w aureoli złotych, pracowicie skręconych loków pochyla się potakująco. Czy pamięta?

⟨Maleńka figurko, która odebrałaś mi szczęście, maleńka figurko—w takt banalnego tanga snuje się żarliwa modlitwa — daj mi wytrzymać tę jedną chwilę. Maleńka figurko...⟩.

Skoro ten drobiazg był dla pana prawdziwym porte-bonheur'em — ... mówi uprzejmie pani Ada i wyciąga rękę po kieliszek szampana.



GOŚĆ Z DANCINGU

I.

Powodzenie miał ogromne. Ledwo ukazywał się w dancingu, witały go uśmiechem oczy czarne, niebieskie, piwne i szare. Uśmiechały się doń, wabiły, kochały... Wysoki, bardzo zgrabny, o głębokich aksamitnych oczach i prześlicznych rękach. Ach! te ręce! Białe nerwowe, o długich palcach, zdawały się być żywemi, które umiały kochać i nienawidzieć....

Powodzenie miał niezwykłe. Przychodził zwykle dość późno, siadał samotnie przy stoliku, zamawiał pół czarnej i paląc wolno papierosa, przyglądał się zebranym kobietom. Pod jego aksamitnem spojrzeniem rumieniły się pudrem posypane policzki i drżały ukarminowane wargi. I każda była dumną, gdy pochylał przed nią swą elegancką postać i prosił do tańca: i skromna panna, i wystrojona mężatka i wesoła kokotka.

Tańczył wspaniale. Zdawało się, że płynął, że zespalał się w jedną całość z przytuloną doń tancerką. Żałośnie zawodziły skrzypki, cichutko łkała wiolonczela — dla niego jedynie. I dla niego tylko śmiał się jazz band w szalonym charlestonie, smucił się fortepian w melancholijnym walcu. Wszystkie inne pary stanowiły niby bezbarwne tło, na którem wykwitał on! Król tanga, mistrz tańca!

Nie był jednakże zawodowym tancerzem, ale takim samym gościem jak i inni. Kelner giął przed nim tak samo służalczo kark, chociaż zamawiał tylko pół czarnej.

Z tancerkami rozmawiał niewiele. Był małomówny i powściągliwy. Jeżeli go zapraszała do stolika któraś z wielbicielek, odmawiał z grzecznym uśmiechem, onieśmielającym proszocą.

— To pewnie były książe rosyjski — przypuszczała niejedna.

— Albo amerykański miljoner — marzyły kokoty.

— Królewicz z bajki — myślały z uwielbieniem panny.

— I piękny, ach! jak piękny — wzdychały mężatki.

Poza dancingiem nie widywano go nigdzie. Każde pytanie umiał zbyć uśmiechem, każdą ciekawość gasiło chłodne spojrzenie aksamitnych oczów.

Czasami znajdował na swym stoliku czerwone róże lub białe, zawrotnie pachnące tuberozy. Brał kwiaty do swych pięknych rąk, przykładał do ust i posyłał dziękczynne spojrzenie w tłum swych wielbicielek. Nie dziękował jednej, dziękował wszystkim za to, że były takie urocze, że składały mu swą miłość w darze. Nie pytał od kogo pochodziły kwiaty, a gdy ofiarodawczyni, niezadowolona ze zbytniej powściągliwości, pierwsza zdradzała mu pochodzenie daru, czule ściskał ją za rękę i szeptał do ucha:

— Pani? To niemożliwe. Zbyt wiele zaszczytu, zbyt wiele szczęścia. Niestety! Przeczucie mi mówi, że kwiaty te pochodzą od bardzo brzydkiej i starej kobiety....

I wstydziła się biedaczka, wstydziła się ta, która w niemem uwielbieniu rzuciła mu pod stopy białe tuberozy lub szkarłatne róże.

Czasami znajdował na swym stoliku maleńkie, pachnące bileciki, proszące o spotkanie, o chwilę rozmowy, obiecujące miłość, flirt, a nawet pokaźną sumę pieniężną. Czytał milutkie karteczki, uśmiechał się, znowu spojrzeniem dziękował wszystkim pięknym kobietom i... nigdy nie chodził na wyznaczone spotkanie.

Tuląc raz w bluesie śliczną blondynkę, mimowoli usłyszał głośną rozmowę dwóch pań:

— To gbur. Dwa razy pisałam do niego, czekałam, nie przyszedł.

— Cham — oburzała się druga. Wyszedł i pozostawił na stoliku moje irysy.

— Więc i ty?...

— Ach! Ma chère! Czego się nie robi z nudów — usprawiedliwiała się niezręcznie.

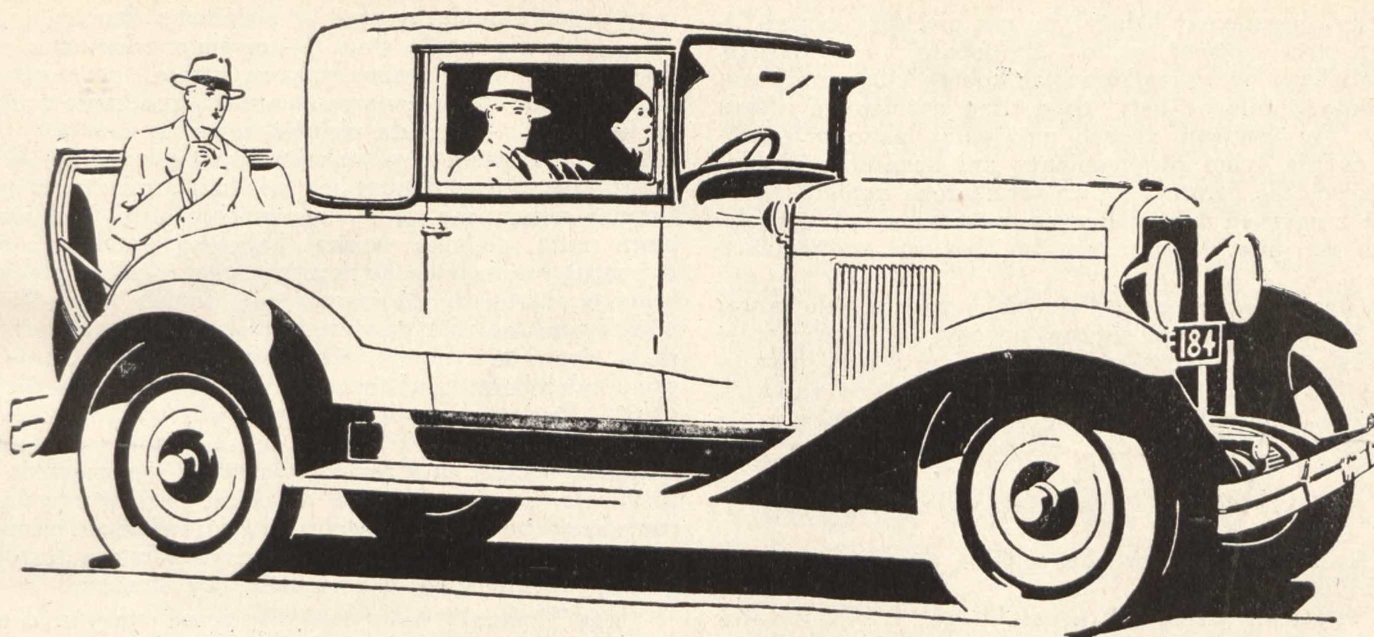
Gdy orkiestra po raz setny zagrała „Twe usta", podszedł do tej, która go chamem nazwała i poprosił do tańca. Bez wahania wstała i po chwili płynęła z nim w krainę marzeń. Gdy powróciła na miejsce i przyjaciółka złośliwie zapytała:

— No i cóż? Tańczyłaś z chamem?

— Ależ to książe. autentyczny książe! Tylko książe może się zdobyć na taki gest pozornej obojętności — zwierzała się.

I tańczył tajemniczy gość z dancingu z kokotą, tańczył ze skromną panną. z awanturnicą i z wielką damą, ale nigdy nie tańczył z Lilitą.

Lilita miała prześlicznie wykrojone usta i niebieskie oczy, w których czaił się zazwyczaj złośliwy chochlik. Przychodziła dość często, zawsze bardzo strojnie ubrana, w dużem towarzystwie, wesoła i rozbawiona. Tańczyła poprawnie, ale nie zmysłowo i nigdy nie oddawała się w tańcu całkowicie, jak to czyniły inne kobiety. Nieustannie przykładała face à main do cokolwiek zmrużonych oczów i obojętnie przyglądała się, znajdującemu się w dan-



Wytworny wygląd, najbardziej współczesne ulepszenia techniczne — przykuwają uwagę każdego

Siła, szybkość, łatwość kierowania, komfort oraz wytworny wygląd — oto charakterystyczne cechy, któremi wyróżnia się 6-cio cylindrowy Chevrolet od innych samochodów swej klasy. Dzięki silnikowi, którego moc powiększono o 32,6% oraz szeregowi technicznych inowacji, samochód ten zdobył od pierwszej chwili olbrzymią popularność zwiększającą się w Polsce z każdym dniem. Koszty utrzymania jego są niezmiernie umiarkowane, zaś stacje obsługi General Motors, rozrzucone po całym kraju, zapewniają w każdej chwili fachową opiekę oraz kontrolę należytej wydajności samochodu. Wobec niebywale niskiej ceny i ułatwionych warunków płatności, o których poinformuje najbliższe zastępstwo samochodów Chevrolet, nabycie tego wozu dostępne jest dla najszerszego ogółu. *Wyrób General Motors.*

Upoważnione Zastępstwa na całem terytorjum Polski i w Wolnem Mieście Gdańsku.

Ceny:

Phaeton . .	zł. 10.650	Sedan . . .	zł. 13.650
Phaeton-obicia skórzane .	zł. 10.950	Coupé . .	zł. 14.500
		Sport Cabriolet	zł. 15.450
Roadster . .	zł. 11.950	Landau Sedan	zł. 16.500

loco Fabryka Warszawa.

Chevrolet, jak zresztą każdy inny samochód wyrobu General Motors, jest do nabycia na ułatwionych warunkach płatności według systemu GMAC

CHEVROLET

GENERAL MOTORS w POLSCE, WARSZAWA

cingu towarzystwu. Mówiono, że jest to osoba z towarzystwa, że mąż jej posiada fabrykę samochodów.

Kiedy „tajemniczy książe" po raz pierwszy ujrzał Lilitę, jego serce mocniej zabiło. Spodobała mu się bardzo, znacznie więcej od wszystkich tych kobiet, które mu posyłały kwiaty i miłosne listy. Była dlań wcieleniem ideału kobiety. Jej uśmiech, sposób mówienia, lekko przymróżone oczy nie tylko przypominały mu bohaterkę ulubionej powieści, ale licowały z ową wymarzoną kobietą, która wykwita z naszych młodzieńczych snów i marzeń, głęboko ukrytych na dnie duszy i rzadko bardzo spotykanych w życiu.

Nie miał odwagi podejść do niej i poprosić do tańca, chociaż na samą myśl, że śliczną, ponętną Lilitę przyciśnie do bijącego serca, łuna pokrywała mu lica. Wreszcie przezwyciężył wrodzoną nieśmiałość. Lilita przerwała na chwilę rozmowę, spojrzała nań obojętnie przez lornetkę i

— Merci. Nie tańczę z obcymi — wycedziła niedbale.

— Ależ on piękny, Lilito i tak wspaniale tańczy — doleciał go czyjś szept.

— Każdy fryzjer może być piękny — roześmiała się głośno Lilita.

Od tej chwili dziko zapragnął Lility. Z oddali całował spojrzeniem przymróżone oczy, czerwone usta, białą szyję. Pragnął nie tylko z nią tańczyć, ale przycisnąć usta do jej dumnych warg, pieścić, kochać, całować i posiąść, choć raz jeden posiąść nieprzystępną, złą Lilitę.

Ale Lilita nie widziała go, a jeżeli czasem zauważyła, drwiła z „księcia", z „miljonera", nieprzyjemnie, głośno, nic sobie nie robiąc z bożyszcza sali dancingowej.

— Jak panu na imię? — zapytała raz jedna z wielbicielek.

— Romuald — odparł.

Ale Lilita, której powiedziano, że tajemniczy „książe" nosi imię naprawdę „z towarzystwa", roześmiała się głośno.

— Jaki on tam Romuald! Jędrek, a może wogóle Al... — urwała.

Pewnego razu tańczący pan Romuald z śliczną czarnooką panną, płynął w takt bluese i na chwilę udało mu się zapomnieć o gorąco kochanej Lilicie. Oto czuł tylko, że trzyma w objęciach kobietę, bezgranicznie mu oddaną, uległą, że gdzieś z oddali płyną tajemnicze tony, które poją go jak haszysz i otwierają wrota do krainy niespełnionych marzeń i nieziszczalnych nadziei. Nagle... raptownie przerwał taniec, pocałował w rękę zdumioną pannę, szybko odprowadził ją na miejsce i szepcząc jakieś niezrozumiałe wyrazy przeproszenia, opuścił w pośpiechu dancing.

— Co się mogło stać? — myślała zdumiona. Tylko jakaś niesłychanie ważna sprawa mogła spowodować taki postępek. Może honorowa, a może spotkanie z ukochaną kobietą?... — uczuła ukłucie w sercu.

A tymczasem nasz bohater kroczył prędkim krokiem przez jasno oświetlone ulice wielkiego miasta, z trudem tłumiąc cisnące mu się na usta przekleństwo. Podniósł kołnierz palta, głęboko wcisnął kapelusz na oczy i skręcił w boczną, wąską uliczkę, kończącą się wielkim placem, do którego elektryczność jeszcze nie dotarła. Zrzadka poumieszczane latarnie gazowe rzucały niepewne światło na małe, drewniane domki, źle brukowane ulice, zanieczyszczone odpadkami kuchennemi, nieczystością i wogóle śmieciami. Pusty, ponury plac nie cieszył się dobrą opinją; w małych domkach kryła się nędza pospołu z najwyższą rozpustą. Pełna zmęczenia, wyziewów i narzekania cisza panowała tu niepodzielnie. Czasami przerywały ją miarowe kroki posterunkowego, nagłe pojawienie się ćmy nocnej która ginęła niezadługo w mroku zaułków, lub jakieś głośne przekleństwo, okrzyk bólu czy strachu.

Pan Romuald zatrzymał się przed starym, drewnianym domkiem i zakołatał w bramę. Po pewnej chwili otworzył mu zaspany stróż, mrucząc pod nosem mało pochlebne epitety pod adresem spóźnionego gościa, od którego nigdy nic nie otrzymywał. Przez wąską sionkę wszedł pan Romuald do małego, dusznego pokoju, z którego dolatywał głośny wielogłos chrapania. Ostrożnie, aby nie zawadzić o żadną postać, śpiącą na sienniku czy na łóżku, pan Romuald przesunął się w milczeniu do okna, pod którem stało łóżko, zasłane brudną pościelą. Usiadł na niem i zaczął się prędko rozbierać, starannie składając ubranie i chowając je do niewielkiego koszyka. Zdejmując skarpetkę, uśmiechnął się smutnie.

— Gdyby one wiedziały, że uciekłem dlatego, że zauważyłem dziurę w mojej jedynej parze jedwabnych skarpetek!

Jedyna para jedwabnych skarpetek! Gdyby wszystkie strojne wielbicielki pana Romualda zobaczyły teraz swój ideał! Odwróciłyby się odeń niezawodnie z pogardą! Ba, nie poznałyby może tajemniczego „księcia", lub nie przyznałyby się nigdy, że zaledwie kilka godzin temu omdlewały w jego ramionach. A gdyby mogły się

wkraść do jego myśli, cofnęłyby się natychmiast zatrwożone i zdumione.

II.

A dzisiaj pojedziemy za miasto — powiedziała pani Lilita. Muszę wypróbować moją nową Minerwę.

Wesołe, rozbawione towarzystwo zgodziło się natychmiast. Lilita była tego dnia w niebywale dobrem usposobieniu, śmiała się, żartowała, każde jej słowo tryskało dowcipem i humorem.

Siadając do samochodu rzuciła krótko szoferowi: „Za miasto" i samochód pomknął naprzód, przez szerokie, czyste ulice, przez wąskie uliczki przedmieścia i duży plac, na którym niby niepozorne grzyby, kryły się małe, drewniane domki, przesiąknięte nędzą i występkiem.

Wyjmując ze złotej papierośnicy papierosa, pani Lilita nagle zawołała:

— Złamałam sobie paznokieć! Kto z was ma pilnik czy nożyczki?

Niestety jednak, nikt z towarzystwa nie posiadał żądanych przedmiotów i piękna właścicielka Minerwy zaczęła się dąsać.

— Śliczne towarzystwo! Gniewam się na wszystkich, a wątpię czy na tym końcu świata znajdzie się jakiś fryzjer!

Jednakowoż fryzjer się znalazł. Szofer zatrzymał samochód przed małym domkiem, jednym z tych niepozornych grzybów, które niby wieniec, uwity z nędzy i niedostatku, opasywał brzydki plac. Przed domkiem stał chłopiec z rozwichrzoną czupryną i dłubał zawzięcie w nosie.

— Przynieś nożyczki od fryzjera — rozkazał szofer.

Chłopiec znikł w ciemny sklepie, a dookoła samochodu zebrała się spora gromadka gapiów, przyglądająca się ciekawie tak rzadko tu spotykanej maszynie i eleganckiemu towarzystwu, które w milczeniu czekało na powrót chłopca.

Nagle w milczenie wpadł donośny, nieco ochrypły głos:

— No, prędziej, panie Kacper, niech pan nie marudzi i poda państwu nożyczki!

Z ciemnego otworu, który stanowił wejście do sklepu, wyłoniła się postać mężczyzny, który zastygł nieruchomo, na widok towarzystwa, znajdującego się w samochodzie.

— Przecież to niezwyciężony pan Romuald! — roześmiała się pani Lilita. Tajemniczy „książę" i bożyszcze dancingowe! Proszę prędzej o nożyczki — dokończyła sucho.

Nożyczki wypadły z drżących rąk biednego Kacpra. Nielitościwy śmiech zdmuchnął w jednej chwili domek karciany, budowany z takim trudem. Czuł utkwione w siebie spojrzenie wielu par oczów i zdawało mu się, że czarne, okrutne przeznaczenie zasłoniło mu nazawsze upragniony uśmiech życia.

Mały chłopiec, nie przestając dłubać w nosie, podniósł nożyczki i podał je szoferowi.

Pani Lilita, śmiejąc się wesoło i nie spiesząc się bynajmniej, obcięła złamany paznokieć i rzuciła pod nogi Kacpra srebrny pieniądz.

— Za fatygę — powiedziała krótko.

Srebrny pieniądz potoczył się po nierównym bruku i wpadł do rynsztoka, ścigany przez gromadkę uliczników, bijących się o posiadanie skarbu. Samochód odjechał w smudze gęstego dymu, w którym znikł wraz z marzeniami i miłością Kacpra. Biedny bohater, przed którym nieubłagane przeznaczenie zatrzasnęło drzwi, prowadzące do krainy nieziszczalnych snów i pragnień, stał ciągle bez ruchu.

A było to tak:

Nasz bohater (jakże słusznie zgadła pani Lilita, że pod arystokratycznym Romualdem ukrywać się musi zwykły Jędrek), był synem szewca z tej samej kamienicy, w której obecnie miaszkał. Ojciec chciał widzieć swego syna na wyższym szczeblu społecznej hierachji i oddał go na naukę do fryzjera. Nieszczęściło się jednak „Jędrkowi", a właściwie Kacprowi. Kapryśna natura obdarzyła go piękną twarzą, zgrabną figurą, cudownemi rękami, ale jednocześnie odebrała mu wszelką zdolność i ochotę do pracy.

Kacper najchętniej leżał i pochłaniał wprost wszelkie książki, które mu wpadały pod rękę. Poznał więc „Hrabinę czyli tajemnicę zamku", płakał, czytając dzieje „Młodego magnata", rozczulała go dola „Skradzionego dziecka czyli shańbionego rodu". W marzeniach widział się właśnie owym „Młodym magnatem", który w nowiuteńkim fraku i lakierkach tańczył z „prawdziwą hrabiną". Marzył o tem, aby strząsnąć z siebie kurz proletarjatu i za dotknięciem różdżki czarodziejskiej stać się owym „Młodym magnatem", który podobnie do niego zaczął od skromnego stanowiska subjekta, a skończył na ośmio pałkowej koronie i złoconej karocy. Nie wiedział jednakże jak się do tego zabrać. Nie wiodło mu się. Z początku fryzjer w pierwszorzędnych zakładach, w skutek braku zdolności i lenistwa zewsząd wyrzucany, został wreszcie przyjęty za wstawiennictwem ojca, do skromnego cyrulika na peryferjach miasta, w rodzimej kamienicy. Nie był naturalnie zadowolony z losu.

— A może będę tancerzem? — pomyślał.

Czytał właśnie niedawno w „Krwawym baronie", że taniec otworzył bohaterowi podwoje wielkiego świata.

Najpierw sprawił sobie frakowe ubranie (naturalnie na wypłaty); w ten sam sposób doszedł do posiadania koszuli, lakierek i innych niezbędnych części garderoby. Nie uciekł się do kradzieży, gdyż żaden bohater z czytanych przezeń powieści nie kradł: raczej głodował, ale był zawsze szlachetny i uczciwy. Mała manicurzystka, panna Frania, wypieściła mu jego śliczne palce; stary pijaczyna, współlokator Kacpra, dawny baletmistrz, wtajemniczył go w trudne arkana tanga i charlestona. „Młody magnat" użyczył mu swego imienia i oto, pewnego wieczora, narodził się pan Romuald, bożyszcze wszystkich pięknych pań.

Powodzenie nie przewróciło mu w głowie. Zdawał sobie sprawę, że miłość i uwielbienie, towarzyszące mu w dancingu, opuszczą go na pustym placu, na peryferjach miasta, że żadna z pięknych wielbicielek pana Romualda, nie pokochałaby Kacpra. Wrodzona nieśmiałość nie pozwalała mu się wcisnąć do „wielkiego świata", który go wabił, nęcił i zapraszał.

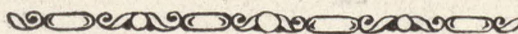
Obawiał się ciągle, że tajemnica jego wykryje się, chociaż śliczne jego tancerki nie znały ubogich i brudnych przedmieści wielkiego miasta. Obawiał się, że bywanie w wielkim świecie pociągnię za sobą wydatki, których nie są w stanie pokryć zarobki podrzędnego fryzjera. Nie umiał zaś skorzystać z kaprysu fortuny, która się doń uśmiechała. Więc pół czarnej, dzienna pańszczyzna u cyrulika, drwiny kolegów z powodu podkrążonych oczów, drwiny współlokatorów — tak wyglądało życie dancingowego lwa.

I nagle pani Lilita...

— Panie Kacper chodźże pan, bo jak Boga kocham... zagrzmiał donośny, nieco zachrypły głos.

Wrodzona nieśmiałość, a może strach przed ojcem i pryncypałem, popchnęła Kacpra naprzód. Opuściwszy jeszcze niżej głowę, poszedł beznadziejnym krokiem i wkrótce znikł w czeluściach brudnego i ciemnego sklepu.

St. Osińska.





P. Zizi Halama, artystka teatru „Morskie Oko" w jednej ze swych kreacji w rewji p. t. „Cała Warszawa"





Redakcja i Administr.
ul. Marszałka Focha 2
tel. 72-85 i 525-85.

Konto P. K. O. 16190

Prenumerata półroczna (6 egzemplarzy) zł. 6.

Za Redaktora:
EUGENJUSZ RAFALSKI

Wydawca:
BOLESŁAW KARNISZYN i S-KA
Sp. z o. o.

Kierownictwo:
Bolesław Karniszyn.
Układ graficzny:
art. mal. L. Chejfec.

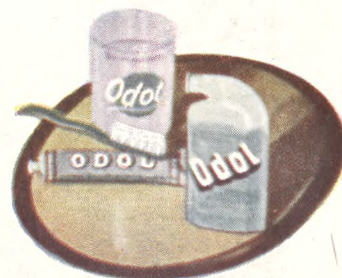
Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym.

Klisze wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna Nr 61.

WE WSZYSTKICH KULTURALNYCH PAŃSTWACH CAŁEGO ŚWIATA ŻYJĄ ENTUZJASTYCZNI ZWOLENNICY HIGJENY

„ODOL"-OWEJ

Każdy kraj i każdy naród ma swe odrębne zwyczaje i poglądy, ale na jednym punkcie we wszystkich krajach panuje jednomyślność: że higjena zapomocą „ODOLU" jest idealną higjeną ust i zębów. Jeśli odwiedzasz przyjaciół w obcych krajach, czy w Europie, czy za morzem — wszędzie, we wszystkich państwach spotkasz entuzjastycznych zwolenników higjeny „ODOL"-owej. Czy w Paryżu, czy w Londynie, czy w Ostendzie, San Sebastian, Cap Martin, Budapeszcie, Hollywood, Rio de Janeiro, Cannes, Helouanie — wszędzie u dbałych o swoje zdrowie osób znajdziesz «trójcę» higjeny „ODOL"-owej: niezrównaną szczotkę do zębów „ODOL", z jej praktycznym krojem łukowym, drobnoziarnistą pastę do zębów „ODOL", w wytwornej czystej tubce cynowej, oraz klasyczny „ODOL" w mlecznobiałej flaszeczce, znany na całym świecie. Zakłady „ODOL" mają w 22 państwach świata swe siedziby i filje, co dowodzi międzynarodowego uznania higjeny „ODOL"-owej, która rzeczywiście jest najdoskonalszą higjeną ust i zębów.



„ODOL" TRZY RAZY DZIENNIE!

IDEALNA HIGJENA UST I ZĘBÓW!

Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. Franaszek, Warszawa.

KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.
Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. FRANASZEK, Warszawa.